Numer dla kandydatów na studia wyższe

Nr 17 (326) 24. IV. 1955 r. Cena 35 gr

Uwaga! Uwaga!

Dziś ogłaszamy jeszcze jeden

Wiosenny konkurs

Tym razem również dla uczniów szkół średnich

Patrz strona 7

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

P. Wasiliew — *W. I. LENIN W 1919 ROKU*

Lenin
i dziś
od wszystkich żywych żywszy.
Nasza wiedza,
siła
i oręż."

(Włodzimierz Majakowski)

Jak zostałem odlewnikiem

JAN HAJEWSKI
Absolwent wydziału odlewniczego AGH.
Technolog wydziałowy Odlewni Stali „Pomet".

Nie pamiętam dokładnie w której klasie — X czy XI — byłem z wycieczką w Poznaniu. Opera nie wywarła na mnie spodziewanego wrażenia, za to utkwiły mi w pamięci odwiedziny w Odlewni Zakładów im. Stalina. Przypominam je sobie jak gdyby to było dziś. Wielki piec, krzątający się wokół robotnicy, jakieś pokrzykiwania i szum motorów.

Tak... Jeszcze trochę, już... i z rynny elektropieca — (piszę te wspomnienia w pięć lat potem, dlatego taka terminologiczna poprawność) — połynęła oślepiająca struga staliwa. Kilka kostek aluminium, struga coraz szersza i blask coraz

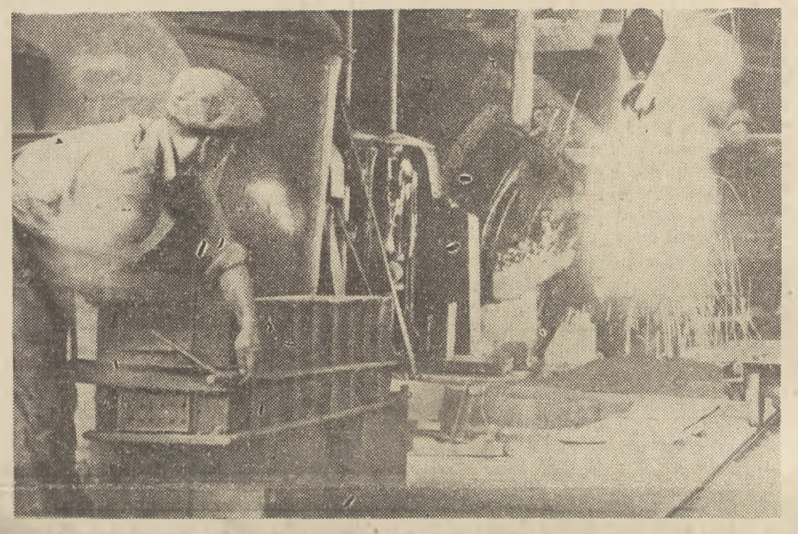

... popłynęła oślepiająca struga staliwa

większy. Nad szybko wypełniającą się kadzią unosi się rój świetlików — iskierek, a potem rozdzwoniona suwnica przewozi powoli olbrzymią kadź z płynnym metalem nad formy i zaczyna się nowy ceremoniał zalewania form odlewniczych płynnym staliwem. Jeszcze teraz po tylu latach spust ma dla mnie coś niezwykłego, powiem — romantycznego. Jest jakaś twórcza radość w zdawaniu sobie sprawy, że należy się do ludzi, którzy mogą igrać z płynną stalą o temperaturze 1500 stopni, z tą bezkształtną lawą, która w rękach człowieka zamienia się na użyteczną, służącą człowiekowi.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że ta wycieczka do odlewni zadecyduje o mojej przyszłości.

Kiedy w 1950 roku po zdaniu matury musiałem decydować o wyborze kierunku studiów, stanąłem wobec trudnego problemu: medycyna czy chemia, Politechnika czy Akademia Sztuk Plastycznych — wszystko było atrakcyjne Ale jednocześnie ciągnęło mnie do stali. Stawały mi przed oczyma obrazy z odlewni. Co prawda rodzice i krewni mieli inne plany co do mojej przyszłości. Przekonywano mnie zewsząd, że w odlewnictwie nie ma nic ciekawego, robota brudna, niezdrowa, kurz i gorąco. Wielu znajomych, a nawet bliskich kolegów wyśmiewało moją decyzję zostania inżynierem - odlewnikiem. Nie wiedziałem co robić. Po kilkutygodniowych wahaniach złożyłem papiery na wydział odlewniczy Akademii Górniczo - Hutniczej w Krakowie. Czy słusznie?

Studia rozwiewały wątpliwości.

Co to jest odlewnictwo? Odlewnictwem nazywamy wytwarzanie przedmiotów przez wypełnianie płynnym metalem odpowiednio przygotowanych form. Jak to się robi — o tym dużo i długo trzeba by mówić. Krótko — to chyba tyle. Z drewna wykonuje się model o kształcie przyszłego odlewanego przedmiotu. Model ten przy pomocy specjalnych urządzeń odciska się w masie formierskiej i tak powstają zewnętrzne formy pożądanego przedmiotu. Wewnętrzne kształty odtwarzają rdzenie podobnie jak formy wykonane z masy rdzeniowej.

Ale to nie koniec. Dalszy etap produkcji — to uzyskanie płynnego metalu do zalania form. Do tego celu służą potężne piece elektryczne, gazowe lub koksowe, jednym słowem moc różnych urządzeń technicznych. Zalane formy wybija się a odlewy czyści i ewentualnie obrabia. W ten sposób powstaje bardzo wiele przedmiotów używanych przez nas codziennie, a bez których trudno byłoby nawet przeżyć jeden dzień.

Po studiach w 1954 r. stanąłem do pracy w poznańskim „Pomecie". Pierwsze kroki w przemyśle i niepokój czy Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie zdołała mnie wychować na dobrego inżyniera - odlewnika. Od tego czasu minął rok pracy, który umocnił we mnie przekonanie o słuszności obranych studiów.

Można być laikiem, ale trzeba wiedzieć, że dotychczasowa gospodarka w odlewnictwie opierała się na metodach rękodzielniczych. Dziś już zabytkiem archiwalnym jest „gisernia", o której opinie odstraszają młodzież od zawodu odlewnika. Zmieniają się czasy i zmieniają warunki pracy. Powstają fabryki urządzeń i maszyn odlewniczych gwarantujące, że obecny kierunek naszej socjalistycznej gospodarki prowadzi do przekształcenia odlewnictwa z rzemiosła w przemysł.

Dzisiaj pracuję w nowobudującej się stalowni. Olbrzymia hala produkcyjna, elektropiece, klimatyzacja, praca na konwojerach, z czasem będą fotokomórki określające gatunek stali. Praca ludzka została zastąpiona mechanizacją. Gdzie tu przepowiadana mi przy wstępowaniu na studia brudna robota, zaduch i choroby? Śmiać mi się chce z tych wszystkich, którzy wróżyli mi choroby zawodowe, a nawet utratę zdrowia. Bzdury, szanowni plotkarze!

Pod koniec ubiegłego roku zakład wysłał mnie do ZSRR na praktykę odlewniczą. Wtedy to miałem możność zapoznać się z prawdziwą mechanizacją procesu technologicznego, zrozumiałem znaczenie odlewnictwa w produkcji towarowej kraju. Kunszt — wysoka specjalizacja i wprost wspaniałe opanowywanie procesów technologicznych przez kadrę inżynieryjno - techniczną oraz robotników zakładów ZSRR sprawiają, że w stosunku do niektórych metali można zupełnie wyeliminować obróbkę mechaniczną. Naszym dążeniem jest właśnie tak pracować jak oni.

Mieszkając w Moskwie często oglądałem na jednej ze stacji moskiewskiego metro statuę odlewnika. I ta niema figura bardzo wiele mi mówiła. Ciemna, wyniosła postać oparta na gracy, okulary ochronne przypięte do daszka czapki. Rzeźba młodego wytapiacza-odlewnika zdawała mi się mówić: bądź silny i dumny z tego, że należysz do naszego grona. Byłem i jestem dumny z tego właśnie powodu. Dzisiaj nie zamieniłbym swej pracy na żadną inną, bo wiem, że jest ona twórcza i potrzebna naszej ojczyźnie.

Zastanawiałem się kiedyś nad tym, do czego można by przyrównać pracowników odlewnictwa i szereg określeń cisnęło mi się do głowy. Odlewnik to artysta, bo z drzewa, z gliny rzeźbi przedmioty. Odlewnik to czarodziej, który z bezkształtnych częstokroć brył i bloków potrafi wytworzyć płynną, pełną tajemniczego życia, gorejącą lawę i z powrotem zamienić ją w twardy, tym razem kształtny przedmiot — odlew.

Dlatego pracując w umiłowanej przeze mnie dziedzinie jestem szczęśliwy. Mam bardzo dobre warunki materialne — zarabiam około 2.000 zł. miesięcznie. Przy nierozrzutnym, ale i nieskąpym trybie życia mogę pomagać rodzinie i samemu sprawiać sobie co pewien czas ubranie i kupować książki.

(Dokończenie na str. 5)

Żakowskie Igraszki

Dziś specjalne sprawozdanie z imprezy na Politechnice Warszawskiej, zorganizowanej przez POPROSTU przy współudziale Redakcji „POLITECHNIKA". Bliższe szczegóły — patrz. str. 3.

Co zadecyduje?

A. JEŻEWICZ

Wśród wielu pytań nadchodzących do redakcji jak i stawianych nam w bezpośrednich rozmowach z uczniami XI klas na czoło wybija się jedno: „Co zadecyduje o przyjęciu na wyższe uczelnie?" Powszechną tajemnicą jest, że wielu kandydatów na studia stara się na wszelki wypadek o wszelkiego rodzaju zaświadczenia i oświadczenia, które by w jak najbardziej pozytywnym świetle stawiały przeszłość i teraźniejszość jego najbliższej i dalszej rodziny. Wygrzebywane są z przeszłości fakty, które — według zdania ich poszukiwaczy — mogą wpłynąć na stanowisko komisji rekrutacyjnej wobec kandydata na wyższe studia.

Podają więc niektórzy, że np. ciotka pracowała w tych samych zakładach co gen. Świerczewski, że dziadek mieszkał w domu, w którym ukrywał się dwa dni Feliks Dzierżyński, że wreszcie ojciec urodził się w jednym roku z wybitnymi działaczami partyjnymi. Czy takie humorystyczne fakty mogą być uważane za jakiekolwiek argumenty mające ułatwić temu lub innemu wstęp na studia?

Ale wielu z Was ma wątpliwości czy rzeczywiste, poważne zasługi działaczy państwowych i społecznych — członków najbliższej rodziny kandydata — są brane pod uwagę przy decyzjach komisji rekrutacyjnej. Szczególnie martwią się ci, którzy takich działaczy w swej rodzinie nie mają.

A jaki wpływ mógł mieć każdy z Was, obecnie 17-letni chłopiec czy dziewczyna na to, by ktoś z członków rodziny został działaczem lub nie? Nie od Was to zależało i Wasz udział w ich zasługach równa się zeru. Dlatego nie możecie mieć z tego powodu większych lub mniejszych przywilejów i praw. Przeciwnie. Wszyscy startujecie z tej samej linii, różnice na mecie zależeć będą tylko od Was. Kto więc wybrał metodę obwarowywania swych akt protekcyjnymi zaświadczeniami, wybrał złą drogę, która może zawieść i przynieść wiele rozczarowań.

Jakie zatem okoliczności decydują o przyjęciu kandydata na wyższą uczelnię? Jest ich niewątpliwie wiele. Najważniejszymi, najbardziej decydującymi są następujące:

WŁAŚCIWY WYBÓR KIERUNKU STUDIÓW

Oznacza to, że absolwent szkoły średniej wybrał taki kierunek studiów, a w konsekwencji taki zawód, do którego posiada największe zamiłowanie, uzdolnienie i co się z tym bezpośrednio wiąże — największy stosunkowo zasób wiedzy z przemiotów podstawowych dla danego kierunku studiów.

Decyzja w tej sprawie nie jest łatwa. Nie trudno w wielu wypadkach o pomyłkę. Jednakże każdy z Was wie zapewne, które dziedziny wiedzy interesują go bardziej, a które przedmioty już w szkole średniej nastręczały niemało trudności. Jakże często jednak pod wpływem różnych okoliczności nie idziemy za głosem rozsądku i zamiłowań, a ulegamy czyimś gustom i upodobaniom. Fakt, który podam, jest szczególnie jaskrawy.

W Wyszkowie n. Bugiem zdaje obecnie maturę Andrzej Parzuchowski. Uczeń wybitnie uzdolniony i niesłychanie pracowity. Już teraz może operować materiałem z matematyki w zakresie dwóch lat studiów na wyższej uczelni. I oto początkowo ten wybitny matematyk wybierał się... na medycynę. Dopiero perswazje dyrektora szkoły i nauczyciela matematyki oraz zdrowy rozsądek ucznia spowodowały, że zmienił on planowany kierunek studiów.

Czy nie można zostać przyjętym na studia niezgodnie ze swymi uzdolnieniami i zamiłowaniem? Oczywiście, że można, takie fakty na pewno się zdarzą i niestety nie będą sporadyczne. Ale ta sprzeczność da o sobie znać podczas studiów i wówczas wyjdzie tzw. „bokiem". Niewiele warte są studia, gdy nie pokrywają się z uzdolnieniami i prawdziwym zamiłowaniem. Nie mogą być one rzetelne, a to w konsekwencji spowoduje słabe przygotowanie do zawodu, brak rezultatów i zadowolenia w przyszłej pracy.

Jest więc się nad czym zastanowić. Najważniejsze, by przy wyborze kierunków studiów nie poddawać się owczemu pędowi i upodobaniom osób trzecich, ale kierować się własnymi uzdolnieniami i potrzebami naszej gospodarki narodowej.

Poza tym warunkiem decyduje:

WIEDZA

To zdaje się nie wymaga szerokiego tłumaczenia. Zasób wiadomości jaki uzyskaliśmy przez 11 lat nauki musi być na tyle wystarczający, by odpowiedzieć możliwie najlepiej na pytania egzaminacyjne. Wokół egzaminów wstępnych krążą zazwyczaj różne pogłoski, i podawane z ust do ust anegdoty, które wyolbrzymiają trudności egzaminacyjne i srogość profesorów. Faktycznie zakres egzaminów nie wykracza poza materiał, który był przedmiotem nauki w szkole średniej.

PRZECIW ELITARNOŚCI

Dobre stopnie uzyskane na egzaminach to moment niezwykle ważny, ale nie może on decydować.

Wiadomo, że młodzież robotniczo-chłopska, której dopiero władza ludowa otworzyła na oścież bramy szkół i uniwersytetów nie znajduje jeszcze w domu takich warunków do nauki, jak dzieci innych warstw społecznych. Zrozumiałe jest również, że młodzież prowincjonalna nie ma takich warunków nauki jak ich koledzy w Warszawie lub w innych miastach Polski. Te różnice są dosyć istotne i nie mogą nie wpływać na wyniki nauczania. Dlatego widzenie samych stopni bez spojrzenia na całokształt warunków w jakich dany kandydat na studia zdobywał wiedzę byłoby biurokratycznym, elitarnym podejściem do spraw rekrutacji.

TO NIE WSZYSTKO

Napisałem na wstępie, że zasługi bliższej i dalszej rodziny nie mogą mieć decydującego znaczenia dla przyjęcia kandydata na studia. Nie oznacza to jednak, że bez znaczenia jest jego własna postawa wobec otaczającego życia. **Aktywista społeczny ma i powinien mieć większe prawo do studiowania niż ten, który obojętnie, z boku patrzy na nasze wysiłki, aby Polska jak najszybciej stała się potężnym krajem szczęśliwych ludzi.**

Współuczestnik w tej wielkiej budowie w miarę swych sił już teraz daje gwarancję, że z tym większym zapałem odda on swe siły krajowi wtedy, gdy wzbogaci je nabytą na uczelni wiedzą. A to nie jest sprawa mało ważna.

Tak więc: właściwy wybór kierunku studiów, dostateczna suma wiedzy przy uwzględnieniu warunków w jakich ją zdobywano, jak również własna postawa wobec życia — zadecydują o tym, którzy spośród maturzystów za kilka miesięcy staną się studentami.

Chłopcy i dziewczęta! Wzmożonym wysiłkiem w pracy i nauce uczcimy V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie!

Tragedia w Palm Beach Hotel

„Występ" Anity w coctail barze Palm Beach Hotel w Bejrucie.

Anita popełniła samobójstwo. Wieść o śmierci 18-letniej dziewczyny rozeszła się szybko po wszystkich piętrach wielkiego, wytwornego hotelu w Bejrucie. Pod drzwi jej pokoju ściągnęły tłumy ciekawych. Zastanawiano się głośno, co też mogło skłonić młodziutką dziewczynę — dziecko niemal, do tego rozpaczliwego kroku. Dramat rodzinny? Zawiedziona miłość? Nieuleczalna choroba? — Chyba żadna z tych przyczyn nie wchodziła w rachubę Była młoda, piękna i utalentowana. Występowała już kilkakrotnie i jej taniec spotykał się z powszechnym uznaniem. Tancerce przepowiadano piękną przyszłość, wróżono wspaniałą karierę.

Gdy funkcjonariusze policji libańskiej weszli do jej pokoju w „Palm Beach Hotel" — nie znaleźli niczego, co mogłoby wyjaśnić zagadkę. Żadnego listu, żadnego śladu czyjejkolwiek obecności czy jakiejś gwałtownej sceny. W pokoju panował zupełny porządek i gdyby nie leżąca na stole flaszeczka po t uciźnie — można by było przypuszczać, że Anita śpi spokojnie i za chwilę się obudzi.

Łatwo sobie wyobrazić rozpacz rodziców, gdy dotarła do nich straszna wieść. Nie mogli uwierzyć w śmierć córki a tym bardziej w samobójstwo. Była przecież tak pełna radości życia, zawsze pogodna, roześmiana. Nie! Anita nie mogła tego zrobić!

Czynili sobie wzajemnie wyrzuty: nie wolno było puszczać Anity w daleki świat. Ale przecież czekała ją taka cudowna kariera... Najpierw występ w Rzymie, a później już wszystkie sceny miały stanąć przed nią otworem. Tak przecież obiecywano przy zawieraniu umowy. Chodziło im o szczęście córki, która rwała się w świat... Mówiła, że w Hannowerze nie ma dla niej przyszłości, że zmarnuje talent w tym prowincjonalnym mieście, które co prawda po wojnie nabrało pewnego znaczenia w zachodnich Niemczech, ale mimo wszystko było partykularzem.

Ojciec nie mógł wtedy nie przyznać jej racji. I gdy owego listopadowego dnia pojechał razem z Anitą do Frankfurtu nad Menem — był jak najlepszej myśli. Na miejscu zaś uspokoił się ostatecznie. Przecież ten pan Bryman to bardzo poważny i solidny człowiek. Jaki był wyrozumiały wobec wahań ojca, jak wczuwał się w jego niepokój, jak potrafił przełamać nieśmiałość Anity, i jaką wykazywał troskę o jej przyszłość. Ringwelskiemu zaimponowało luksusowe biuro na pryncypialnej ulicy Frankfurtu. A przecież była to tylko filia wielkiej zachodnio - berlińskiej firmy „Wisoku", która angażowała młode dziewczęta do zawodów artystycznych.

*

Po depeszy zawiadamiającej w krótkich słowach o samobójstwie Anity, nadszedł do rodziców list pisany przed śmiercią przez nią samą. List odsłonił tajemnicę...

Anita pisała o nadziejach, które towarzyszyły jej przy wyjeździe z Frankfurtu do stolicy Włoch. Tam, w Rzymie na 11 listopada 1954 r. był zapowiedziany jej pierwszy występ. Miała tańczyć wobec wybitnych znawców, przedstawicieli świata artystycznego Europy i Ameryki. Ta „premiera" miała zadecydować o całej jej przyszłości, o życiowej karierze Anity.

Tymczasem występ nie odbył się na scenie teatru, co było największym marzeniem młodej dziewczyny, lecz... w nocnym barze, noszącym złowrogą nazwę „Rupe Tarpea" („Skała Tarpejska"). Po wykonaniu przez Anitę krótkiego tańca na parkiecie otoczonym stolikami, przy których siedzieli podochoceni goście, poproszono ją, aby dosiadła się do któregoś z samotnych panów, ale „żeby wybierała możliwie starszych, z większą gotówką".

Anita nie mogła i nie starała się ukryć swego rozczarowania. Zrozumiała, że padła ofiarą oszustwa. Nie wiedziała co dalej robić. Wracać do domu? Oznaczało to wstyd wobec rodziców i ostateczne rozstanie się z nadzieją na pracę tancerki, która była jej marzeniem. Uciekać stąd? Ale dokąd?

I wówczas zaproponowano jej wyjazd do Afryki Północnej, gdzie miała otrzymać doskonałe warunki i możność zaspokojenia swoich ambicji artystycznych. Nie zabawiła tam jednak długo i została skierowana na Maltę, gdzie tańczyła w różnych lokalach, których same nazwy wskazują na ich charakter: „Trocadero", „Tabarin", „Lord Nelson", „Victory". Nadal jednak marzyła o operze i ciągle miała nadzieję... Mniej zachęcano ją do tańca a więcej do zabawiania gości.

Oficjalnie uważano ją i kilka innych dziewcząt, które spotkał ten sam los — za tancerki, ale po kilku nocnych występach wszystkie otrzymały do noszenia na szyi metalowe krążki policyjne z inicjałami „PM" (Public Mainden — dziewczyna publiczna) z numerem.

Fakt ten poprzedzony był następującym „wydarzeniem": jednego z pierwszych wieczorów właściciel baru polecił swemu zaufanemu odprowadzić Anitę po występie do domu, aby „uchronić ją przed wszelkimi niespodziankami, jakie mogłyby spotkać samotną kobietę w nocy na ulicy". Tymczasem w drodze nastąpiło „zupełnie przypadkowe" spotkanie z patrolem policyjnym. Po krótkiej, prowadzonej na boku rozmowie z „opiekunem", stróż porządku dochodzi do przekonania, że dziewczyna prowadzi mężczyznę do siebie do domu. Sytuacja jest zupełnie jasna: znaczek z literami „PM" słusznie jej się należy...

Dalsza droga wiedzie Anitę na brzeg azjatycki do Bejrutu, gdzie następuje kres jej życiowej wędrówki. Cóż groziło jeszcze tej istocie, której sądzone było ujrzeć samo dno życia w jego najpotworniejszej formie? Wiele widziała i wiele wycierpiała w ciągu tej paromiesięcznej tułaczki. Czy było coś, co mogło jeszcze pogłębić jej upadek i hańbę i wreszcie zmusić do dobrowolnego spojrzenia śmierci w oczy?

Ringwelski ze swymi dziećmi przed wyjazdem Anity (Anita—na prawo)

Rodzice Anity szukali sprawiedliwości, szukali winnych śmierci ich córki...

Pan Byrman — Dyrektor „Wisoku", człowiek, który w wykwintnym gabinecie frankfurckiego biura roztaczał wspaniałe miraże zawrotnej kariery, pan Byrman, wielki organizator artystycznych tournées we wszystkich metropoliach ziemskiego globu, związany z najznakomitszymi agencjami koncertowymi i organizacjami imprez artystycznych w stolicach starego i nowego świata — teraz rozkładał bezradnie ręce.

— Młoda... niedoświadczona... rodzice sami winni, że nie zapoznali jej z niebezpieczeństwami grożącymi młodej dziewczynie... Świat jest taki zepsuty... tyle w nim podłości i brudów... a Anita miała słaby charakter...

Alarm, podniesiony po samobójstwie Anity, artykuły ostrzegawcze w prasie, wzburzenie opinii publicznej — wszystkie te objawy reakcji społeczeństwa zaczęły powoli przycichać, napięcie ich stopniowo słabło, aż wreszcie spadło.

Wszelkie wysiłki rodziców, aby winnych śmierci Anity odnaleźć w Rzymie, w Algerze, na Malcie, w Bejrucie — na całym szlaku jej koszmarnej wędrówki — pozostały bez skutku. Nawet Komisja ONZ dla zwalczania handlu kobietami zainteresowała się sprawą i w rezultacie nadesłała sprawozdanie, z którego wynika, że 6000 europejskich dziewcząt znikło w podobny sposób; później część z nich odnajdywano w podejrzanych, często zupełnie niedwuznacznych środowiskach. Wiele z nich zawędrowało właśnie do Bejrutu.

Różni szeikowie, emirowie i paszowie idą z duchem czasu — jeżdżą dziś samochodami i odbywają podróże samolotami, ale pod jednym względem trwają w zacofaniu hołdując tradycjom swych przodków — utrzymują liczne haremy. Do dobrego tonu należy, aby w każdym haremie były choć dwie blondynki „importowane" z zachodniej Europy. Dla wielu „managerów" daleko zyskowniejszym interesem jest dostarczenie „żywego towaru" do haremów, aniżeli do barów i domów publicznych. Bejrut jest właśnie centrum tego intratnego handlu, Palm Beach Hotel — wielkim domem towarowym i dla niejednej Anity stał się końcową stacją, z której już nie ma powrotu.

A. K.

21 kwietnia 1955 roku minęła doniosła rocznica podpisania układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy między Związkiem Radzieckim i Polską. Układ ten stał się m. in. podstawą szerokiej współpracy gospodarczej między zaprzyjaźnionymi państwami, olbrzymiej pomocy z jakiej korzysta nasze państwo we wszystkich dziedzinach życia.

Wielka polska budowla socjalizmu — elektrownia w Jaworznie również została zbudowana dzięki dokumentacjom i urządzeniom dostarczonym z ZSRR. Na zdjęciu: radziecki technik Wł. Fiedosiejew wraz z technikiem J. Łukaszewskim i monterem E. Mierzwą podczas prac montażowych tejże elektrowni.

Do wszystkich studentek i studentów!

Zbliżają się X żniwa w Polsce Ludowej. Naszemu rolnictwu potrzebna jest aktywna pomoc całego społeczeństwa. Stało się już tradycją studenckiego życia, że w tym trudnym dla rolnictwa okresie ochotnicze brygady żniwne wyjeżdżają do Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Każda dodatkowa para rąk do pracy — to szybsze zakończenie żniw, to pomoc w wykonaniu planów PGR-ów. Każda dodatkowa para rąk do pracy — to zebranie cennych kilogramów zboża dla gospodarki narodowej, to zwiększenie bogactwa kraju.

Zwracamy się z gorącym apelem do całej młodzieży wyższych uczelni.

ZGŁASZAJCIE SIĘ DO OCHOTNICZYCH STUDENCKICH BRYGAD ŻNIWNYCH!

Studenci dowiedli w czasie żniw lat ubiegłych, iż można liczyć na ich ofiarność i patriotyzm. Toteż i teraz oczekujemy licznych zgłoszeń do pracy w PGR na trzy czternastodniowe turnusy:

od 16.VII do 29.VII
od 2.VIII do 15.VIII
od 18.VIII do 31.VIII

Nie powinno być ani jednego ZMP-owca, ani jednego studenta, który dysponując w tym okresie czasem wolnym od praktyk i obozów nie zgłosiłby się do ochotniczych brygad żniwnych.

Pamiętaj! I od Ciebie zależy sprawne przeprowadzenie żniw. Twoje zgłoszenie i praca pomogą w zwycięskim przeprowadzeniu kampanii żniwnej.

Zgłoś się do studenckiej brygady!

ZARZĄD GŁÓWNY ZMP / RADA NACZELNA ZSP

Arytmetyka i historia

(W odpowiedzi Panu Geoffrey Bing)

W poprzednim numerze opublikowaliśmy wywiady, których udzielili nam zachodnioeuropejscy prawnicy. Między innymi na łamach POPROSTU wypowiedział się labourzystowski poseł do Izby Gmin G. Bing. Rzucił on między innymi następującą myśl:

„Remilitaryzacja Niemiec nie jest jeszcze faktem dokonanym. Ale nawet gdy się dokona — uzbrojone Niemcy zachodnie można zneutralizować".

Ciekawe jest zestawienie tego poglądu z faktami.

Na mocy układów paryskich liczebność niemieckich sił lądowych przewidziano na 490 tysięcy żołnierzy, poza tym ma powstać marynarka i lotnictwo. Siły lądowe składać się będą z 12 dywizji, a ich skład osobowy przewidziano na 156 tysięcy ludzi.

Coś w tej matematyce szwankuje. Gdzież bowiem zginęły 244 tysiące żołnierzy (różnica pomiędzy 400 a 156)? Otóż owe blisko ćwierć miliona ludzi przypada na dowództwo, szkoły wojskowe, oddziały specjalne, sztaby itp.

Nawet kompletny laik w sprawach wojskowych z łatwością wyciągnie stąd wniosek, że owe 12 dywizji — to parawanik, za którym już — nie za rok, dwa, ale już — przygotowuje się wielką armię. Obliczono, że owe dwieście czterdzieści cztery tysiące stanowią osnowę dla utkania 60 dywizji, co zresztą z rozbrajającą szczerością przyznaje nawet prasa bońska.

Pan Bing odpowiedziałby na to, że on ma gwarancje ograniczające remilitaryzację Niemiec, że w te gwarancje wierzy. Układy przewidują, że niemieckie siły zbrojne nie przekroczą 400 tysięcy ludzi, a taka siła nie jest zdolna zagrozić pokojowi świata.

Nie tylko angielski polityk, ale nawet jego mały synek chodzący do szkoły powszechnej mógłby zauważyć, że znowu w tej arytmetyce coś szwankuje, ponieważ zgodnie z oficjalnymi danymi w Niemczech zachodnich już istnieją różne formacje wojskowe liczące 440 tysięcy osób. Gdzież więc owe 400 tysięcy za kilka lat?

Z tego co powiedzieliśmy wypływają dwa wnioski:

że za trzy lata, w wypadku wprowadzenia w życie układów paryskich, powstałaby kilkumilionowa armia niemiecka,

że arytmetyka to kłopotliwie ścisła gałąź wiedzy.

*

W 1924 roku pisma angielskie i francuskie zawalone były karykaturami ośmieszającymi stutysięczną niemiecką Reichswehrę W „armii" niemieckiej jeden żołnierz przypada na 4 generałów — głosił poważny londyński dziennik, rysując dowcipnie owego żołnierza, od którego honory odbiera czterech dumnie rozpartych excelencji. Na innym rysunku Chamberlain swym przysłowiowym parasolem przykrywał całe siły zbrojne Republiki Niemieckiej.

W roku 1938 zgrabne koniki ciągnęły tekturowe czołgi Wehrmachtu. Tym razem na łamach prasy polskiej.

W niedługim czasie „tekturowe czołgi" pokazały co potrafią wobec „silnych, zwartych i gotowych" a Chamberlain jest na szczęście w grobie, bowiem jego parasol nie tylko nie przykryłby armii niemieckiej, ale nawet nie osłonił cennej głowy męża stanu przed niemieckim pociskiem V2 składającym Londynowi kurtuazyjną wizytę.

Te anegdotyczne wspominki muszą nasunąć analogię: militaryzmu niemieckiego ani lekko, ani niefrasobliwie traktować nie wolno, nie liczy się on z żadnymi „gwarancjami". Tej lekcji nauczył nas już Adolf Hitler i to tak dobrze, że trudno zrozumieć jak mógł o niej zapomnieć pan Geoffrey Bing.

JERZY URBAN

ANNA OSIENIECKA

WSPOMNIENIA O ZAKAZANYCH IDEACH

Jesienne przedpołudnie 1920 roku. Rozległy plac napełnia się ruchem i gwarem nieustannie przybywających kolumn, czerwienią transparentów. Znalazłam się tam razem z kilkudziesięcioosobową grupką dzieci szkolnych polskiej czteroklasowej szkoły podstawowej w Stawropolu (Kaukaz Północny). W dali, ponad tłumem, widniała trybuna otoczona półkolem żołnierskich „szyneli" i spiczastych „szlemów".

Pamiętam, że czekaliśmy długo. Bolały nogi i było zimno. Wreszcie dotarły do nas dźwięki „Międzynarodówki". Tłum zaczął falować, podawano z ust do ust: „Lenin". Z największą wiernością i ostrością fotografii odbitej w najbardziej trwałym materiale — pamięci ludzkiej — odtwarzam dziś, po 35 latach, postać człowieka w szarej „kiepce" na głowie, który mówił wtedy do nas z trybuny. Nie potrafiłabym powtórzyć, co mówił i jak mówił. Nie dlatego, że głos jego i słowa prawie nie docierały do nas, lecz dlatego, że były to słowa zbyt wielkie i ważkie do podjęcia przez 10-letni umysł.

Nie pamiętam, z jakiej okazji odbyła się ta masówka, może była to trzecia Rocznica Października, może zawarcie traktatu pokojowego z Polską w Rydze, może mobilizacja ludzi do „armii pracy" dla odbudowy kraju — jedno jest pewne: byłam świadkiem jednego z wielu dni roboczych człowieka, który wyposażony w wielką mądrość i nadludzką zdolność pracy kształtował nową epokę, „aby spełnić się miało dzieło miłości".

Po tym spotkaniu z Leninem jeszcze przez parę lat przebywałam w środowisku bezpośredniego oddziaływania indywidualności tego człowieka, co „umiał rozkazywać wiekom" a „prosty jak prawda był". Potem znalazłam się w innym zupełnie świecie, w którym imię Lenina było wyklęte i potępione. Wydawało się, że na zawsze pożegnałam życie, które On w trudzie i znoju budował.

W rok po powrocie do kraju, w atmosferę „urządzania się" w nowej ojczyźnie wtargnęła wieść o zgonie Lenina. Przypominam sobie, że fakt ten zaskoczył mnie, wywołując niejasne uczucie żalu. Wydawało mi się, że cały trud tego człowieka poszedł na marne, że z chwilą jego śmierci wszystko wróci do dawnego stanu rzeczy. Żal mi też było moich osobistych przeżyć i wyrzeczeń z tamtego okresu.

Lata następne wymazały z mojej świadomości wszystko, co stanowiło kiedyś łączność z Ojczyzną Lenina i Nim samym. Szkoła i dom lat międzywojennych uśpiły na długo samodzielną myśl krytyczną dorastającej dziewczyny.

*

Z drzemki tej obudziły mnie wspaniałe książki Maksyma Gorkiego. Niezrównany ten człowiek i pisarz stał się moim objawieniem. Wśród jakichś zbiorów prywatnych natrafiłam na wspomnienia Gorkiego o niedawno zmarłym Leninie (w języku rosyjskim).

Lenin, w świetle relacji z bezpośredniego z nim obcowania, ukazał mi się jako człowiek niezwykły, ale i najbardziej bliski. Bliski głębią mądrości, potęgą woli i ogromem dobroci Gorki zasadniczą cechę charakteru Lenina widzi w „wojującym optymizmie materialisty", w optymizmie, który płynie z nieprzejednanej wrogości do ludzkiego nieszczęścia i żarliwej wiary, że nieszczęście nie stanowi niezbędnego składnika bytu, że jest ono tylko ohydnym nowotworem na zdrowym organizmie społeczności ludzkiej i powinno być przez samych ludzi usunięte i odrzucone precz.

*

Dla nas młodych w latach 30-tych, latach nielegalnej działalności wileńskiej organizacji „Front", do której od 1934 roku należałam, Lenin był przede wszystkim niezastąpionym nauczycielem. Nauki Lenina zawarte w jego pracach teoretycznych oraz zapoczątkowana przez niego praktyka budownictwa socjalistycznego stały się niezbędnym źródłem, z którego czerpaliśmy materiał dla realizacji zadań postawionych przed nami wtedy przez Komunistyczną Partię Polski.

Nie były to zadania łatwe. Lata 30-te, to czasy rosnącej faszyzacji kraju, której przeciwstawić się miał antyfaszystowski Front Ludowy wysuwający hasła: chleba, wolności, pokoju. Związek Lewicy Akademickiej „Front", który w roku 1936 został włączony do KZMP, aktywnie uczestniczył w akcjach ludowo-frontowych.

POPROSTU — społeczno-literacki dwutygodnik — wydawany przez naszą grupę (grupę Dembińskiego) — był redagowany, drukowany i rozpowszechniany w atmosferze szykan, konfiskat i aresztów. Inne akcje masowe organizowane przez nas: wieczory dyskusyjne i literackie, odczyty i akademie odbywały się, prawie z reguły, przy akompaniamencie gwizdów, zgrzytu tłuczonych szyb, fruwających lasek, krzeseł i kamieni.

W takich warunkach, w warunkach działania cenzury sanacyjnej, najmniejsza wzmianka o Związku Radzieckim, każdy przejaw pozytywnego stosunku do kraju budującego się socjalizmu groziły zamknięciem pisma i wymagały dużej czujności i odwagi. I chociaż idee Lenina były zawsze drogowskazem w naszej działalności propagandowej, a czyny jego stanowiły dla nas wzór i pobudkę w pracy i walce — imię jego nigdy nie ukazało się na łamach POPROSTU i było wymawiane rzadko i po cichu.

Częściej i swobodniej mówiliśmy o Leninie na naszych niedzielnych wycieczkach i zajęciach szkoleniowych. Wielkie rocznice natomiast obchodziliśmy w bardzo ścisłym gronie, w dobrze zakonspirowanym mieszkaniu. Szczegóły z tych nielicznych zebrań uroczystych zatarły mi się w pamięci.

Oczy i uszy szpicli otaczały nas zawsze i wszędzie. Każda zanotowana przez nich wycieczka, każde spotkanie, nawet każdy numer legalnego POPROSTU stały się później materiałem obciążającym, zawartym w dwunastotomowym Akcie Oskarżenia podczas głośnego procesu grupy Dembińskiego, który odbył się w Wilnie w listopadzie 1937 r.

*

Gdy zestawiam czasy obecne z tamtym okresem widzę, jak jednak inny uczuciowo był nasz stosunek do Lenina. Dla nas wtedy postać Lenina była droga i pożądana przez to, że była daleka, niedostępna i zakazana, jak ktoś, o kim wolno tylko myśleć, ale widzieć i zbliżyć się nie wolno. Brakowało nam pełnego wizerunku tego człowieka.

Wiedzieliśmy i wierzyliśmy, że jest genialnym kontynuatorem dzieła Marksa, że jest wielkim wodzem rewolucji proletariackiej i jej wybitnym strategiem, że jest twórcą partii nowego typu i kierownikiem państwa radzieckiego Historia dawała na to dosyć dowodów Tęskniliśmy jednak do Lenina bardziej prywatnego i bliskiego Chcieliśmy poznać blisko jego życie i jego walkę A pragnienie to było jednym z pragnień umysłów i serc, porywających do czynu — do realizacji idei naszego Nauczyciela.

Kto kocha swój zawód

Czy pamiętacie jedną ze scen filmu „Dygnitarz na tratwie" — kiedy tabun oszalałych z trwogi koni pędzi na oślep, na niechybną śmierć — i z tego niebezpieczeństwa ratuje je młoda kobieta - inżynier - zootechnik? Oczywiście takich widoków na próżno by szukać w największej w Polsce stadninie koni w Racocie pod Poznaniem. Ale kiedy wypuszczone na okólnik ogiery - dwulatki — zaczynają dzikie, nieskrępowane harce, kiedy pod połyskliwą skórą grają naprężone mięśnie, rozwiane grzywy przesłaniają im oczy i lada większy hałas wprawia je w niesamowity popłoch — mimo woli przypomina się tamten, pełen piękna i grozy obraz.

Konie, konie, konie... Przedziwne ich nazwy razem z rodowodem wypisane na tabliczkach w poszczególnych boksach jak: „Pyrrhus", „Kantylena", „Penelopa", „Szumna", „Jarogniew" — trudno zapamiętać, w końcu mylą się ich kare gniade, siwe, czy kasztanowate maście. Ale młody absolwent WSR w Krakowie, inżynier - zootechnik Adam Kuhn — potrafi swoich „podopiecznych" rozpoznać z daleka, potrafi określić imiona ich rodziców, dziadków i pradziadków (jeżeli znaczniejsi), powiedzieć kiedy i na co chorowali, ile potrzebują zjeść.

JAK NAJWIĘCEJ

Bo z końmi — to tak jak z dziećmi. Już od urodzenia trzeba je pielęgnować (a nawet w pewnych okresach do pożywienia dolewa im się tran), trzeba dbać o ich ruch, często wypuszczać na słońce, powoli obarczać odpowiednimi ciężarami — aby potem mogły wydajnie pracować.

Kraj potrzebuje wysokowartościowych koni — reproduktorów do Państwowych Stad Ogierów, do spółdzielni i gospodarstw PGR, koni do zaprzęgów i koni pod wierzch. A bojowe zadanie stadniny — to wyhodować żywe motory, mogące w swojej kategorii pracy osiągnąć taką wydajność jak ciągniki. Najlepiej się do tego nadaje typ koni półkrwi, wszechstronnie użytkowych tzw. koni poznańskich, na których hodowlę stadnina jest głównie nastawiona.

Dwuletnie ogiery ruszyły stępa na okólniku przy stajni. Nareszcie na wolności.

Foto Wojciechowski

Rokrocznie Racot opuszczają piękne ogiery i klacze. Niejeden masztalerz z żalem poklepuje po szyi swego wypieszczonego „lubownika". O wysokiej jakości wyhodowanych koni świadczy chociażby zdobyte w ubiegłym roku na zawodach w Sopocie — wicemistrzostwo Polski w jeździectwie. Zwycięzca — wałach „Bałagan" — wyhodowany był tu od małego źrebięcia.

Stadnina w Racocie co roku przekracza swoje plany.

NIE TAKIE PROSTE

Inż. Adama Kuhna znają i szanują wszyscy pracownicy. Nie spotkałam człowieka, który by o jego pracy nie mówił z uznaniem i życzliwością (proponowano mu już awans na zastępcę dyrektora jednej ze stadnin w Polsce).

A zawód zootechnika, poza oczywiście niezbędną szeroką wiedzą, wymaga jeszcze jednego — serca. Bo pielęgnacja koni — to niemal drobiazgowa czujność, to nie tylko przestrzeganie określonych norm żywienia czy ruchu, ale i znajomość zwierzęcia, którego nawet nastroje stają się poznawalne po dłuższym okresie obserwacji.

Odpowiedzialność pracy inż Kuhna, który ma pod swoją wyłączną opieką cztery duże oddziały stadniny — jest ogromna. Codzienny obchód, od porodówki — tam jeszcze niezdarne, mokre źrebaki pociesznie chodzą na swoich cienkich nogach i nie potrafią ssać mleka matki — poprzez stajnię dla „matki z dzieckiem", gdzie niespokojna młodzież pozwala sobie na dzikie harce — aż do stajni ogierów treningowych, które rżą radośnie kiedy się je wypuszcza zza zamkniętych drzwi boksu. Wszystko trzeba dostrzec, zanotować w pamięci — bo hodowla to długi ciąg obserwacji, to umiejętnie i w określonym czasie zastosowane te albo inne normy.

— Odwiedzałem kiedyś stadninę, w której zachwyciły mnie cudownie wyrośnięte konie — opowiada Adam Kuhn. — Już chciałem zazdrościć, kiedy zauważyłem, że każdy ogier chodzi ciężko, kolana grzęzną mu w słomie, ma wypryski kostne. Stało się dla mnie jasne: nie zachowano proporcji w żywieniu i zmarnowano zwierzęta — mówi z żalem.

Poza codziennym dozorem inż. Kuhn co miesiąc normuje paszę, musi wiedzieć kiedy i w jakiej ilości przydzielić siano, owies, przygotować „mesz". Pomiary, selekcje, a nawet zdawałoby się pozornie kontemplacyjna obserwacja koni na pastwisku — wszystko to daje mu możliwości wprowadzania celowych zmian w systemie hodowli. Co roku przesyła też do zatwierdzenia wyższym władzom plan połączeń rodowych i już z góry przewiduje jakiego sławnego przodka krew powinna zagrać w źrebaku, którego jeszcze nie ma na świecie.

— Co, maluśki, jeść chcesz...

Wilgotne chrapy ulubieńca omal nie otarły się o twarz inż. Adama Kuhna. W karym wałachu „Beju" gra szlachetna krew babki „Tory", która w 1936 r. na Olimpiadzie w Berlinie zdobyła złoty medal. Jej wnuk, też nie lada „końską klasę" wykazuje podczas treningów na maneżu.

Foto Wojciechowski

Dużo więcej miejsca wymagałoby opisanie ciekawych doświadczeń inż. Kuhna — i zrelacjonowanie niesłychanej wagi prób inseminacji (sztucznego zapładniania klaczy) — które są prowadzone na wielką skalę po raz pierwszy w Polsce właśnie w Racocie. Tematy te pozostawić trzeba do następnego reportażu.

DOBRZE NAM TUTAJ

— Nasz inżynier pięknie maluje. Popatrzcie, to on zrobił ten portret „Pyrrhussa" co wisi nad wejściem do stajni — mówi masztalerz Mieczysław Przybylski.

Rzeczywiście pokój inż. Adama pełen jest dobrych obrazów.

Wróciliśmy właśnie z maneżu pod lasem, gdzie konie jak w balecie ćwiczyły: — galop z lewej, wolta w prawo, skoki przez przeszkody, a potem cudowny, popisowy wyciągnięty kłus „Bałagana".

I tutaj, w prywatnym mieszkaniu, na ścianach — znów konie. Zachwyca piękna klacz z omal że zalotnie przegiętą szyją, połyskliwymi oczyma. Cóż, niekłamany sentyment znajduje wyraz nie tylko w pracy.

Biblioteka pełna jest książek. Fachowe — hipologiczne w polskim, rosyjskim, niemieckim języku; literatura piękna, teki malarzy. Na czołowym miejscu — „Szlak bojowy Wojska Polskiego".

Inżynier Adam bierze do ręki ten tom. Niedawne lata, historia, której był uczestnikiem. Z 1 Armią WP wyszedł z ziemi radzieckiej. Pocisk niemiecki trafił go aż pod Dreznem. Potem trudno było przyzwyczaić się do pustego rękawa prawej ręki, znaleźć swoje właściwe miejsce w wolnej ojczyźnie.

Szeleszczą przerzucane kartki. Adam mówi:

— Lubię nieraz sięgać do tej książki. Przypominać tamte dni. Za wiele tu jednak dla mnie patosu. Walczy się prościej. Potem praca — też prosta. Piękne słowa są raczej w sercu. Nie umiem mówić. Potrafię godzinami chodzić po lesie, polach, pastwiskach. Obserwować piękno wschodu czy zachodu słońca. Tego się nie da opisać. To trzeba przeżyć. Nie umiałbym mieszkać w dusznym mieście. Nie tylko ja, także moi koledzy. Tu jest dobrze. Ta praca, która stanowi istotną treść dnia. Zwykła, normalna. Życzliwi ludzie. Widziałem polski film o koniach — „Pościg". Straszny. Ileż tam fałszywych zgrzytów, jaka wymyślona akcja. Nasz zawód „koniarzy" nie jest może efektowny, jest trudny — ale piękno znajdzie w nim ten, kto czuje, kto jest bliski przyrodzie i życiu w ogóle.

*

Wyjeżdżając z Racotu wywożę jeszcze raz utwierdzoną przykładem, znaną prawdę. Dobrze pracuje ten, kto kocha swój zawód.

DANUTA SOSNOWSKA

Prof. dr TADEUSZ NOWACKI

Dziekan wydziału mechanizacji rolnictwa Politechniki Warszawskiej

Mechanizujemy nasze rolnictwo

To, że ciągnik Ursus czteroskibowym pługiem odwraca szeroki pas ziemi, wydaje się nam dzisiaj zupełnie naturalne i oczywiste. Zaorać cztery hektary dziennie Ursusem — także jest czymś codziennym i nie mającym w sobie nic szczególnego. A przecież nie tak dawno jeszcze wykonywano wszystkie orki pługami konnymi i aby zaorać cztery hektary w ciągu dnia trzeba było 20 koni i 10 oraczy.

Widzimy jak potężny jest ten Ursus. Jeśli zaś jeszcze porównamy to, że do zaorania czterech hektarów pługami konnymi orzący muszą przejść piechotą przynajmniej 160 km, podczas gdy kierowca, przy wykonywaniu tej samej pracy, przejedzie na traktorze tylko 30 km — ocenimy o ile ciągnik ten czyni nam pracę polową lżejszą i bardziej wydajną.

Ursusów takich pracuje u nas tysiące. W lipcu 1954 roku robotnicy przekazali uroczyście trzydziestotysięczny ciągnik tego typu wykonany całkowicie u nas w kraju.

Poza Ursusami pracuje w naszym rolnictwie jeszcze szereg innych ciągników. Ich liczba w kraju sięga w chwili obecnej 50.000 i będzie stale wzrastać. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że do każdego ciągnika należy pełny komplet narzędzi roboczych, jak pługi, kultywatory, brony, wypielacze, obsypniki oraz, że musi istnieć w rolnictwie cały szereg maszyn towarzyszących do siewu, sadzenia, pielęgnacji i zbioru roślin: siewniki, automatyczne sadzarki, opryskiwacze, kombajny zbożowe, kombajny buraczane, kombajny ziemniaczane i cały szereg jeszcze innych maszyn — to możemy stworzyć sobie jasny obraz wielkości parku maszynowego, jaki pracuje w naszym rozwijającym się wciąż rolnictwie.

Cały sztab inżynierów - rolników pracujących nad podniesieniem naszej produkcji rolnej kieruje ruchem tych maszyn. Maszyny te jednakże wymagają i technicznej opieki. Wystarczy sobie uświadomić, że dziesiątki tysięcy tych maszyn trzeba przynajmniej raz w roku naprawić. Aby zapewnić ich terminową naprawę istnieją w kraju setki warsztatów remontowych, poczynając od bardzo prostych, aż do warsztatów-fabryk, gdzie naprawy przebiegają systemem potokowym, gdzie konstruuje się i wykonuje nowe urządzenia, części, przyrządy.

Do kierowania pracą tych warsztatów, do biur konstrukcyjnych, warsztatowych, do bezpośredniego kierowania pracą parku maszynowego potrzeba setek inżynierów-mechaników. Wielu inżynierów-mechaników, pracujących w różnych gałęziach przemysłu, na apel Partii i Rządu przyszło z pomocą rolnictwu, przenosząc się do pracy na najtrudniejsze placówki wymagające kierownictwa technicznego. Wielu młodych inżynierów z różnych wydziałów mechanicznych, po ukończeniu studiów również wybrało pionierską pracę w zakresie mechanizacji rolnictwa.

Czołówkę młodej kadry mechanizatorów rolnictwa tworzą inżynierowie-mechanicy, absolwenci wydziałów mechanizacji rolnictwa. Są oni najlepiej przygotowani do pracy w rolnictwie. W kraju mamy 3 wydziały mechanizacji rolnictwa: na Politechnice Warszawskiej, na Politechnice Wrocławskiej i w Poznańskiej Szkole Inżynierskiej.

Program studiów na tych wydziałach zbliżony jest do programów innych wydziałów mechanicznych. Uwzględnia on jednak przyszłe środowisko pracy, obejmując poza przedmiotami technicznymi również i pewne podstawowe przedmioty rolnicze. W oparciu o przedmioty podstawowe przyszły inżynier uzupełnia swą wiedzę na wyższych latach studiów przedmiotami kierunkowymi, jak „Maszyny rolnicze", „Silniki spalinowe", „Ciągniki rolnicze", „Urządzenia techniczne w rolnictwie", „Urządzenia elektryczne w gospodarstwie rolnym", „Eksploatacja oraz naprawa maszyn rolniczych" i inne.

Studia na wydziale mechanizacji rolnictwa, podobnie jak na innych wydziałach mechanicznych, trwają 5 lat. Są one otoczone specjalną opieką państwa. Opieka ta wyraża się między innymi w wyższych stypendiach i większych procentach stypendiów przyznawanych studentom tych wydziałów. Studia te należą do najbardziej ciekawych. Mało jest bowiem dziedzin, w których zaznaczyłby się w ostatnich latach tak duży postęp, jak w zakresie mechanizacji rolnictwa. Wytyczne naszego planu 5-letniego, nakreślone w programie wyborczym Frontu Narodowego, wskazują na perspektywę dalszego jej rozwoju „aby wesprzeć pracę chłopa najnowocześniejszą techniką, ulżyć pracy jego rąk, zwiększyć jego plon". Realizacja tego programu stwarza wspaniałe możliwości twórczej pracy dla przyszłych inżynierów na wielu odpowiedzialnych placówkach.

Absolwenci tego kierunku studiów obejmą stanowiska kierowników warsztatów naprawczych POM, PGR lub TOR oraz stanowiska inżynierów w POM względnie zespołach PGR, gdzie zadaniem ich będzie kierowanie eksploatacją parku maszynowo-ciągnikowego. Szerokie pole działania mają również absolwenci tego wydziału w szkolnictwie jako wykładowcy w technikach mechaniki rolnej. Najbardziej uzdolnieni będą mogli objąć stanowiska konstruktorów maszyn i narzędzi rolniczych oraz technologów w fabrykach maszyn rolniczych. Posiadający zamiłowanie naukowe mają możliwości pracy w placówkach instytutów naukowo - badawczych lub w katedrach uczelni.

W żadnej innej dziedzinie techniki nie znajdzie zdolny inżynier o zacięciu konstruktorskim tyle możliwości do ulepszeń istniejących maszyn, wynalazków, wprowadzania pomysłów racjonalizatorskich, jak właśnie w dziedzinie motoryzacji i mechanizacji rolnictwa. Często się zdarza, że absolwent bezpośrednio po ukończeniu studiów zajmuje poważne i odpowiedzialne stanowisko kierownicze, które daje możliwość wykazania swoich zdolności zawodowych i organizacyjnych.

Wybierający kierunek studiów z zakresu mechanizacji rolnictwa winni być przygotowani do tego, że po skończeniu studiów czeka ich pionierska praca w przebudowie naszej wsi. Nie można zapomnieć o przyszłym wysiłku, jakiego wymaga każdy zawód. Wybór kierunku studiów zgodnie z zamiłowaniem daje najlepsze wyniki oraz powodzenie zarówno w studiach jak i przyszłej pracy zawodowej.

Wybierający się przeto na wydział mechanizacji rolnictwa winni mieć szczególnie dobrze opanowaną matematykę, fizykę i naukę o Konstytucji, które to przedmioty wchodzą nie tylko w skład przedmiotów egzaminu wstępnego, ale również stanowią podstawę dalszych studiów.

Żakowskie igraszki

Żakowskie igraszki rozpoczęła redakcja POPROSTU i „Politechnika" zorganizowaniem pięknej, barwnej imprezy pod nazwą „Wieczór wymiany słów i melodii". W wielkiej auli PW zgromadziło się nieomal 3000 studentów, a bawili się świetnie.

Wesołym śmiechem huczała sala, gdy odbywał się turniej dowcipów na tematy studenckie. „Dobry żart — tynfa wart" — mówiono niegdyś. Na wieczorze dobry żart oceniono na... butlę miodu. Otrzymali ją najdowcipniejsi ludzie wieczoru, a zarazem konferansjerzy, kol. kol. Świąć i Kobyliński.

Zespół Pieśni i Tańca przy PW (świadomi rzeczy mówią, że Politechnika istnieje przy Zespole) wystąpił z prześliczną wiązanką mazurów i tańców rzeszowskich. Zespół jazzowy „B-mol" grał melodie, od których „same nogi tańczyły". Śpiewacy: Lilka i Simon podbili słuchaczy uroczymi piosenkami francuskimi i hiszpańskimi. Krzywda stałaby się kol. Iwańskiemu (który grał na piccolo) i trójce studentów wykonujących „Balladę dziadowską" gdybyśmy nic o nich nie wspomnieli. Swoimi występami urozmaicili przecież wieczór.

A oto kilka fragmentów uroczystości utrwalonych na zdjęciu przez naszego fotoreportera. Obejrzyj je i pomyśl, czy Twój rok, Twój wydział, Twoja uczelnia nie mogłyby zorganizować takiej lub jeszcze bardziej pomysłowej przedfestiwalowej, studenckiej imprezy.

Koledzy rozwiązują jedno z zadań błyskawicznego konkursu „Kto potrafi?" Na równie „błyskawiczną" ankietę wynalazców przyszły odpowiedzi:

A. Największą radość sprawiłaby mi wiadomość, iż nareszcie wynaleziono:
— dzień 48-godzinny. Może wtedy wystarczyłoby mi czasu na chodzenie na wykłady i ćwiczenia, kreślenie i obliczanie arkuszy, zajmowanie się domem, korzystanie z rozrywek kulturalnych.
— skrócone posiedzenia i zebrania
— maszynę przyśpieszającą zawieranie studenckich małżeństw
— stypendium magisterskie dla magistrów wydziału architektury.

B. Oby tylko nigdy nie wynaleziono...
— bardziej udoskonalonych cyrkli firmy „Skala"
— nowych rygorów, godzących w studenta
— aparatu, który powiedziałby profesorowi na egzaminie o zawartości głowy delenta. (straszne pomysły!)

Na Warszawskiej Politechnice chętnie (i podobno nawet z dumą) opowiadają anegdotkę o pewnym transparencie.

Było tak:

Kiedyś, kiedyś, w czasach nie bardzo zamierzchłych wisiał w gmachu głównym właśnie ów transparent. Swoim pięknym hasłem: **„Rozwijajmy pracę kulturalną"** krzepić miał serca studentów. Ci zaś chodzili smętni i ponurzy, bowiem same słowa nie potrafiły rozjaśnić ich twarzy uśmiechem. I trzeba trafu, że transparent zaginął. Szukano wszędzie: i w innych gmachach, i w podziemiach, i nawet w mieszkaniu pewnego aktywisty. Kamień w wodę! — Nie ma!

Tajemnica wydała się dopiero po pierwszym występie Zespołu Pieśni i Tańca. Kiedy po raz pierwszy na estradzie zafurkotały spódnice tanecznic, okazało się, że jedną ze spódnic uszyto właśnie z owego transparentu Uff! — odsapnęli wszyscy. Ponure twarze studentów rozjaśnił uśmiech.

...Podobno od czasu imprezy nie zginął w stołówce ani jeden widelec. Bo jedną z nagród błyskawicznego konkursu była (jednoosobowa) zastawa stołowa.

Kolega Włodek Czerwiński (bud. lądowe) po otrzymaniu w nagrodę żywej kury udzielił wywiadu przed mikrofonem.

— Jakie plany w związku z kurą, macie kolego na najbliższy wieczór?

— Rosół! — padła z ust zwycięzcy lakoniczna odpowiedź.

...„Więc uśmiechnij się..." — Nie, tej piosenki nie śpiewał ani Maciej Koleśnik, ani Andrzej Bogucki, ani nawet nikt z żakowskich śpiewaków. Ale i tak się uśmiechnęły i to na estradzie. Oto jedna z tych, które nie „załamały" się i wzięły udział w konkursie na najładniejszy uśmiech studentki PW. Rena Kronenberg otrzymuje właśnie nagrodę.

Foto: St. Dziubiński

Studenckie rozmowy o szczęściu 5)

Katolicka a nasza koncepcja

Najwcześniejsi filozofowie greccy nie zajmowali się w ogóle człowiekiem, a więc i jego szczęście niewiele ich obchodziło. Zapatrzeni we wszechświat, ogarnięci pionierską niemal pasją wydzierania mu tajemnic, nie zwracali uwagi na sprawy ludzkie. Dopiero Demokryt (460—371 r. przed n. e.), „śmiejący się filozof", materialista, postawił zagadnienie szczęścia ludzkiego na czele swoich rozważań o człowieku i doszedł do wniosku, że „nie zalety ciała i majątek dają szczęście, lecz prawość charakteru i bogactwo umysłu".

Tak samo jak Demokryt, jego następcy, twierdzili, że szczęście jest dziełem własnym człowieka.

Era chrześcijańska przyniosła destrukcyjny, pesymistyczny pogląd na świat. Idea szczęścia w wieczności odebrała wartość czasowemu szczęściu ziemskiemu. Otumaniwszy zbarbaryzowaną ludzkość, zniszczyła w człowieku właściwe poczucie, zrozumienie owego szczęścia ziemskiego i dążenie do niego, wykoszlawiając nawet przyrodzone, zwykłe pragnienie jego. Bo czymże ono było wobec obiecanych rozkoszy rajskich, jakich „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało"? Czym — zwyczajne życie doczesne wobec wiecznej szczęśliwości w „królestwie niebieskim"? Niczym. „Marność nad marnościami — mówiono o tym życiu — i wszystko marność".

Źródłem chrześcijańskiego poglądu na szczęście jest „Kazanie na Górze", zapisane w Ewangelii św. Mateusza w rozdziale V, gdzie czytamy: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem pocieszeni będą... Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni nasyceni będą... Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was..."

Powoli rozpowszechnia się przekonanie, będące trawestacją „Kazania na Górze", że każda przyjemność ziemska, choćby najbłahsza, utrudnia dostęp do „królestwa niebieskiego", a cierpienie toruje doń drogę. Od gloryfikacji cierpienia do umartwień „grzesznego" ciała — jeden krok. „Jedynie ból umożliwia mi znoszenie życia" — mówi św. Małgorzata-Maria Alacoque (1647—1690). A św. Teresa z Avila pisała: „Zdaje mi się, że cierpienie jest jedyną racją naszego istnienia i o nie proszę Boga najgoręcej". Cierpienie — we wszystkich fazach, od odmawiania sobie przyjemności aż po umartwianie się i ascezę — miało być zasługą, za którą należy się wynagrodzenie w postaci wiecznego szczęścia w raju, którego osiągnięcie stało się w średniowieczu najwyższym celem ludzkiego życia.

W dobie nowożytnej chrześcijańskie pojęcie szczęścia zostało znacznie zreformowane, szczególnie przez Kalwina, ale pesymizm średniowieczny, pogłębiony jeszcze przez filozofię jansenistów, trwał nadal. Ludzie nowożytni, łaknący z natury rzeczy uroków doczesności, byli jednocześnie, jako wyznawcy religii, źle do tych uroków ustosunkowani, nieufni. Musieli wybierać między szczęściem krótkotrwałym, ale namacalnym na ziemi, a wiecznym, lecz niezupełnie pewnym, w niebiosach. Kalkulowali, obliczali ewentualne zyski i straty. Szczęście ziemskie, pomniejszane przez naukę i duchowieństwo chrześcijańskie, ustąpiło pierwszeństwa szczęściu wiecznemu.

Dopiero ożywczy prąd Odrodzenia rozwiał ponure mroki chrześcijańskiego pesymizmu. Ludzie przestali oglądać się na szczęście w życiu pozagrobowym i poczęli doszukiwać się go wyłącznie w bytowaniu ziemskim. Życie wykluło się z zatwardziałej przez półtora tysiąca lat skorupy strachu, koszmarnego zabobonu, ciemnoty i zajaśniało wszystkimi urokami doczesności. Powstały nowe, radosne koncepcje szczęścia.

Ulrych von Hutten, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli humanizmu w Niemczech, poeta, który swym pięknym, gorącym słowem walczył z władzą papieską i Kościołem, woła: „Jaka to rozkosz teraz żyć!" Dobro życia doczesnego chwali także znakomity filozof francuski, Kartezjusz.

W wieku XVIII umysły filozofów zajęte były zagadnieniem osiągalności szczęścia. Holbach (1723—1789), filozof francuski, materialista, pisze: „Mimo błędy ludzkości i szaleńcze twory religii i polityki, są jednak ludzie szczęśliwi na ziemi".

Romantycy, jak wiemy, czuli się nieszczęśliwi, a ściślej mówiąc, lubili czuć się nieszczęśliwi. Wielkie, bezwzajemne miłości, głębokie żale i zawiedzione nadzieje — stanowiły opium dla ich „dusz żądnych narkotyzacji".

Nie wierzący we własne szczęście i zniechęceni do życia melancholijni ludzie XIX wieku nie pozbyli się jednak nadziei, że los przyszłych pokoleń okaże się pomyślniejszy. I jak widzimy, nie mylili się...

Gdybyśmy w naszym społeczeństwie rozpisali ankietę na temat, jak kto sobie wyobraża szczęście, to ogromną część tych niewątpliwie interesujących i najróżnorodniejszych wypowiedzi dałoby się zgrupować pod wspólnym, bardzo szerokim zresztą określeniem: „zadowolenie ogólne z życia". Jeśli szczęście równa się ogólnemu zadowoleniu z życia, to źródła tego zadowolenia możemy nazwać czynnikami szczęścia.

Jakie mogą być źródła owego ogólnego zadowolenia z życia? Czy koniecznie nieprzerwane pasmo przyjemności? Nie. Życie, złożone z samych przyjemności, jest w ogóle niemożliwe, gdy zważy się fakt, że każda przyjemność trwająca zbyt długo przestaje nas bawić, a nawet staje się przykra. Jakkolwiek wydarzenia przyjemne przyczyniają się w znacznej mierze do zadowolenia z życia, to jednak zdrowemu psychicznie człowiekowi potrzebne są także przerwy między nimi, a nawet przykrości, żeby mógł intensywniej odczuwać przyszłe stany przyjemne. Poza tym musi mieć jeszcze coś, czego pragnie, aby życie jego posiadało sens.

Jeżeli pod określenia — przyjemność, wydarzenie obojętne, przykrość, pragnienie — podstawimy wartości takie, jak zabawa, odpoczynek, praca, płacz, miłość i inne, to dojdziemy do wniosku, iż życie składa się z pewnej ilości doznań przyjemnych, obojętnych i przykrych, a o szczęśliwości jego decyduje bilans tych składników. Więcej przyjemności — życie szczęśliwe, mniej — mniej szczęśliwe. Życie bez przyjemnych doznań, a więc całkiem nieszczęśliwe, jest z natury rzeczy niemożliwe.

Aby człowiek był zadowolony z życia, musi mieć zapewnione wyżywienie, ubranie, pracę, odpoczynek, rozrywkę, opiekę lekarską i poszanowanie godności ludzkiej. To wszystko posiadamy, a ten stan posiadania z dnia na dzień rośnie, co napawa nas optymizmem stanowiącym nieodzowny warunek szczęścia. Mamy też czego pragnąć. Owo upragnione — to utrwalenie i pomnożenie osiągniętych już zdobyczy, wzmożenie produkcji wszelkiego rodzaju, wprowadzenie większej ilości maszyn zastępujących w pracy człowieka, doskonalenie medycyny i przedłużenie życia, rozbudowanie akcji wczasów wypoczynkowych, upowszechnienie kulturalnych rozrywek i wychowanie jednostki w miłości i szacunku do ludzi, kraju, przyrody... Mamy podstawę do zadowolenia z życia i mamy czego pragnąć. Dlatego czasy dzisiejsze nazywamy szczęśliwymi.

A oto mój osobisty postulat szczęścia. Zdając sobie sprawę, że moje życie, tj. te wydarzenia, w których dane mi jest brać udział, w znikomej tylko liczbie należą do mnie, a większość z nich dzielę z innymi ludźmi, jako nasze wspólne życie — chciałabym, aby społeczeństwo, w którym żyję, było szczęśliwe. Jako cząstka tego społeczeństwa, uczestniczyłabym siłą rzeczy w tej wielkiej, zbiorowej szczęśliwości, gdyż szczęście ogółu stanowi o szczęściu jednostek, ogół ten tworzących.

MARIA NIEMIROW

Cynizm

Czy zauważyliście jak wielu ludzi na uczelniach wyższych jest czy staje się cynikami życiowymi? Czy spostrzegliście, że można by do nich zastosować twierdzenie, o „podwójnej prawdzie"? Jedną jest dla nich to co widzą wokół, czytają w gazetach, słyszą przez radio, czego wysłuchują na wykładach ideologicznych. Druga zawiera się w jakimś niezwykle skrzętnie chronionym i ukrywanym prywatnym światku myśli i według mego zdania jest głęboko nihilistyczna.

Oto przykład: Euzebiusz jest narciarzem. Miły, serdeczny chłopak. Zamknął się w swoim świecie nart i gór i trudno go ze świata tego wyciągnąć. Kiedyś w bardzo szczerej rozmowie wybuchnął: „Co ty sobie do diabła myślisz, że ja jestem kompletnym idiotą? Że dam się nabrać na tę ich działalność społeczno-polityczną? A co mnie to wszystko obchodzi? Chcą komuniści miotać się? Proszę bardzo. Ja w tym nie będę przeszkadzał. Ja już kiedyś dostałem po łbie, jak mi się coś w tej pracy społecznej nie udało i mam na całe życie dość".

Oto inny przykład:

Marek studiuje nauki ścisłe. Interesował się zagadnieniami życia kulturalnego. Nie podobało mu się ono. Po przeczytaniu jakiegoś artykułu w „Przeglądzie Kulturalnym" oświadcza tak: „Nic już z tego wszystkiego nie rozumiem. Oni zdaje się także nie rozumieją. Jak to? Kazać wierzyć ludziom przez ileś tam lat, że taka interpretacja np. literatury była słuszna, a teraz przewracać wszystko do góry nogami i stwierdzać coś wręcz odwrotnego? Albo z realizmem socjalistycznym w sztuce: wszyscy kręcą się w kółko. Nic z tego nie rozumiem i pewno nie zrozumiem. Nie chcę się do tego wszystkiego mieszać i na ten temat rozmawiać".

Na argumenty, że przecież rewolucja nie polega tylko na zwalczaniu band i sabotażu, że chyba estetyka również przechodzi zmiany rewolucyjne — nie starał się nawet odpowiedzieć.

Różne są przyczyny wzgardliwo-obojętnej postawy życiowej. Tyle całkowicie różnych przykładów na to ilu różnych ludzi. Nazwijmy to nihilizmem czy cynizmem. Nie nazwa jest najważniejsza. Bolesny jest fakt, że tacy ludzie są i odsuwają się od nas coraz bardziej. A my niejednokrotnie tego nie dostrzegamy.

*

Co można im krótko odpowiedzieć?

Najistotniejsze, wydaje mi się, w marksistowskiej koncepcji życiowej postawy człowieka jest zwrócenie uwagi na twórczy, głęboko aktywny stosunek do życia. Na walkę z jakąś życiową apatią i biernym zadowoleniem, czy też z owym nihilistycznym „niezadowoleniem".

Pięknie o tym pisze Jerzy Andrzejewski: „Można otrzymywać w życiu same piątki i iść z tymi piątkami przez życie, lecz biada człowiekowi, który sam sobie i na zawsze wystawi taki chlubny stopień, nigdy bowiem podobny człowiek nie zazna wzruszającej nadziei, owego wątłego drgnienia, które nieśmiało kiełkuje w bolesnym zwątpieniu i sprawia, że wszystkie nasze kulawe do tej pory osiągnięcia, wszystkie słabości i błędy ożywiane zostają możliwością doskonalenia się". („Książka dla Marcina").

Obruszycie się na pewno, że to wszystko jest rozpaczliwie jednostronne. Czasem jednak warto przesadzić. Wyżej wymienieni: narciarz i fizyk skrzywiliby się tylko i machnęli ręką. Zresztą kto wie? Mój przyjaciel z filologii bardzo się na mnie obraził, gdy mu powiedziałem, że jest najzwyklejszym cynikiem. Oby się tak samo obrazili i inni.

W. ADAMIECKI

Przypominamy, że w 16 (325) numerze POPROSTU ogłosiliśmy szereg imprez i konkursów pod ogólnym hasłem

„Przedfestiwalowa Wiosna Żakowskich Igraszek"

Czy wiesz, że ogłosiliśmy tam m. in. konkursy:

I — NA POMYSŁ I ORGANIZACJĘ PRZEDFESTIWALOWEJ IMPREZY STUDENCKIEJ;

II — NA USPRAWNIENIE UŁATWIAJĄCE ŻYCIE STUDENTA;

III — NA NAJLEPSZY STUDENCKI DOWCIP, FRASZKĘ, HUMORESKĘ LUB RYSUNEK SATYRYCZNY!

IV — NA NAJŁADNIEJSZY UŚMIECH STUDENTKI.

Biorąc udział w tych konkursach możesz zdobyć szereg cennych nagród, jak np.:

MOTOCYKL SHL, ROWER, APARAT FOTOGRAFICZNY, KUPON WEŁNY, PORTRET ZROBIONY PRZEZ ARTYSTĘ-MALARZA, RADIOODBIORNIK, DWUTYGODNIOWE WCZASY, DOBRE WIECZNE PIÓRA, SKÓRZANE TECZKI LUB TOREBKI DAMSKIE I WIELE INNYCH.

W wymienionym numerze ogłosiliśmy również turnieje krasomówcze na temat „Ceny Kariery" i zapowiedzieliśmy OSOSO — Ogólnopolską Studencką Olimpiadę Szybkiej Orientacji. Regulamin OSOSO — w następnym numerze!

TADEUSZ KUREK

wymyślili i A·R·R

Stoję sam na sam z długim szpalerem tajemniczych szaf, ciągnących się wzdłuż ścian, i czuję się nieco podenerwowany — mniej więcej tak samo, jak wówczas, kiedy to z indeksem w garści przychodziło wyczekiwać u profesorskich drzwi. Niewątpliwie ten korytarz w gmachu przy Śniadeckich 8 ma w sobie coś przypominającego surowość uczelni. Zdaje się, że i szafy z jasnego drzewa, i drzwi podobnie oszklone matowym szkłem widziałem już kiedyś... Możliwe też, że owe nieskomplikowane wspomnienia nasunęła mi po prostu czerwona tablica u wejścia: PAŃSTWOWY INSTYTUT MATEMATYCZNY.

Tak czy inaczej stoję oto na korytarzu i usiłuję na gwałt przypomnieć sobie wszystko, co wiem o przedmiocie. Matematyka — no cóż, zawsze miałem z nią trudności. Ktoś nazwał ją „królową nauk", brzmi to bardzo ładnie, ale mówi niewiele... W epoce kamiennej nikt nikomu nie stawiał z matematyki ani trójek, ani czwórek, bo ludzie liczyli sobie na razie na palcach. Później Egipcjanie albo Chińczycy wynaleźli prymitywne liczydło — a b a k, Hindusi uprościli pisanie liczb wprowadzeniem zera, a jeszcze później nastała era logarytmów i rachunku różniczkowego. Zaraz, kto właściwie odkrył rachunek różniczkowy? Zdaje się, że Newton kłócił się o to z Leibnitzem... Słyszałem też coś o Barrowie, nauczycielu Newtona, ale nie dałbym głowy...

Matematyka i elektronika to podobno różne dziedziny. Przed pół wiekiem Fleming i Lee de Forest skonstruowali pierwszą lampę katodową. Niby to takie proste, że pojąć może dziś każde dziecko, a jednak... Zespół naukowców, który tu właśnie, na Śniadeckich 8 tworzy Grupę Aparatów Matematycznych — nauczył swoje diody i triody logiki matematycznej. Oczywiście nie wiem na czym to polega. A co to jest receptor zero - jedynkowy? Też nie wiem. W ogóle kiepsko bym wyglądał, gdyby któryś z rozmówców zamiast odpowiedzieć na moje pytanie — po prostu zapytał: „A co pan właściwie wie o sieciach elektronowych?"

Odwagi, odwagi, reporterze — naciśnij klamkę:

ZACZĘŁO SIĘ OD PODATKÓW

Kilkaset ładnych lat temu żył sobie w Rouen poborca podatkowy, Pascal. Odwiedzał ludzi z nakazami płatniczymi w ręku, więc wątpliwe, czy go lubiano; prawdopodobnie jednak nie kłopotał się o to, bo i tak masę zmartwień przyczyniały mu nieustanne obliczenia municypalnych podatków i królewskich danin. Ślęczał nad żmudnymi rachunkami.

Poborca z Rouen miał syna, imieniem Blaise. Blaise Pascal był chłopcem nad wiek poważnym i współczuł ojcu sumującemu długie kolumny liczb. Miał ponoć lat piętnaście, kiedy postanowił, że zbuduje dla ojca „liczącą machinę". Słowa dotrzymał, choć na wynik pracy przyszło poczekać dziesięć lat — w każdym razie rok 1646 zastał już Blaise Pascala z podłużną skrzynką, która mogła zakasować nawet niezłych rachmistrzów. Nastawiało się co trzeba, kręciło bodajże korbką i maszynka wykonywała cztery działania.

Wiem na pewno, że to raczej rzadki wypadek stałości młodzieńczych zainteresowań. Inżynier Leon Łukaszewicz na przykład w wieku lat piętnastu nie zajmował się ani matematyką, ani maszynami do liczenia, ani też „majsterkowaniem" przy domowym radioodbiorniku. Mokotów miał inne, bardziej godne uwagi atrakcje; poza tym odziedziczone po dziadku i ojcu zamiłowania ciągnęły Leona do myślistwa. Dobra dubeltówka i poranne czaty w zasadzce — to niewątpliwie przedmiot i romantyczny i interesujący. Od dawna stwierdzono, że zajęcia takie nie idą w parze z nauką, więc Łukaszewicz był w szkole średniej — średnim uczniem. Jeśli pod wpływem ojca - inżyniera zastanawiał się kiedykolwiek nad wyborem przyszłego zawodu — to było to bardzo płynne i niekonkretne.

W rok później pojawiły się nad Warszawą „Stukasy" o kanciastych skrzydłach, zdobnych w czarny krzyż. Chociaż był to akurat wrzesień, nikt z rówieśników Leona nie wybierał się do budynku gimnazjum, gdzie szyby powtarzały dzwonieniem echo wybuchów. Kiedy zaś umilkły syreny, a w Ujazdowskich załomotały po asfalcie podkute buty — piętnastoletni gimnazjalista znienacka odczuł wartość tego, co stało się „für Polen verboten". Wtedy właśnie zrozumiał, że chce się uczyć i że umie jeszcze tak śmiesznie mało. Ci wszyscy, którzy potajemnie musieli zdobywać naukę, odkrywali jej cenę i urok, łapczywie usiłowali zaspokoić swój głód książkami, wędrującymi z rąk do rąk jak zakazany owoc.

Na kursach kreśleń Jagodzińskiego młodzi ludzie nie posiadali oficjalnych indeksów, ale poza nieskomplikowaną teorią rysunku technicznego zdobywali wiedzę, niezbędną przyszłym inżynierom. W zainteresowaniach Łukaszewicza technika walczyła wówczas o lepsze z literaturą. Leon zaczytywał się w Szekspirze, sięgając po tom za tomem, jak gdyby pragnął odczytać sens wojennych dziejów w monologu Makbeta:

„Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszą głowę.
Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust..."*)

Zanim jednak sprawiedliwość dziejów skruszyła potęgę okupanta, Warszawa miała przeżyć dni swego daremnego bohaterstwa i swojej klęski.. Wojenna tułaczka roku 1944 rozrzuciła mieszkańców stolicy po świecie. Łukaszewicz zatrzymał się u rodziny w Krakowie i tam, zaraz po wojnie, zabrał się do studiów matematycznych. Widocznie jednak zainteresowania techniczne wzięły znów górę, bo w roku 1946 znalazł się już na Politechnice Gdańskiej, aby w dwa lata później opuścić ją z dyplomem w kieszeni.

Nie niepokójcie się, Czytelnicy, tą pozorną biograficzną dygresją — bo już zaraz wydarzenia zaczną galopować wprost do tematu, któremu poświęcony jest ten reportaż. Oto w rok po zakończeniu studiów zastajemy już Leona Łukaszewicza w Instytucie Telekomunikacji, a w jego dłoniach — pewne zagraniczne czasopismo, traktujące o elektronowych maszynach matematycznych. Urządzenia radarowe mają wiele wspólnego z tą nieznaną jeszcze w Polsce dziedziną elektroniki. Młody inżynier pasjonuje się nowymi możliwościami, wspomina o pewnych swoich pomysłach dyrektorowi Instytutu.

— Tak... Wie pan, to ciekawe... — mówi profesor Groszkowski. Dyrektor Kuratowski w Państwowym Instytucie Matematycznym rozważał taką możliwość, podjął nawet decyzję...

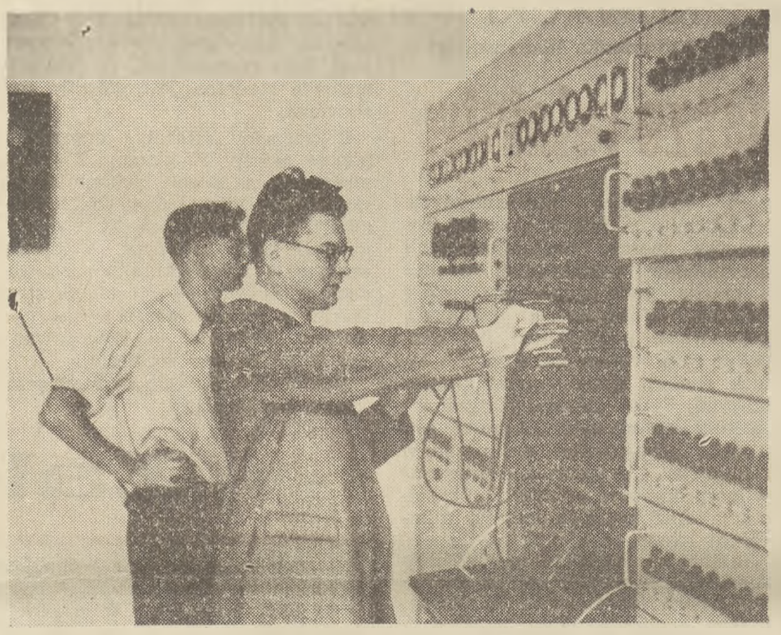

Wynalazcy i ich dzieło

I oto rozmawiam teraz z twórcą — a raczej z kierownikiem zespołu twórców pierwszego „mózgu elektronowego" w Polsce. Zza szkieł okularów, które niewątpliwie przydają powagi twarzy trzydziestoletniemu docentowi PIM, uśmiechają się oczy Leona Łukaszewicza. Popatrzcie, cóż to za zbieg okoliczności: jesteśmy w tym samym gmachu przy Śniadeckich 8, gdzie niegdyś uczyli się słuchacze „kursów kreśleń" Jagodzińskiego!

„NIECHŻE TEN ŁUKASZEWICZ BUDUJE"

Za tymi drzwiami, w wielkim pustym pokoju pracuje z cichym poszumem transformatorów „mózg elektronowy" — ARR. Należy do licznej, choć bardzo młodej rodziny elektronowych maszyn matematycznych, której historia obejmuje niewiele ponad dziesięć ostatnich lat. Łączono z nimi wiele nadziei i bodajże więcej jeszcze fantastycznych pomysłów, prześcigających wizje Vernego i Wellsa. „Elektronowy mózg", zdaniem niektórych, miałby zakasować w przyszłości najzdolniejszych naukowców i wynalazców, rozwiązując w ułamku sekundy problemy, oczekujące na rozstrzygnięcie od długich lat. W powieściach fantastycznych pojawiać się począł natrętny motyw wszechwładzy maszyn...

Myślę o tym wszystkim, patrząc na ekrany oscyloskopów, przez które przewijają się ruchliwe, zielone linie. Cóż, znamy różne fantazje — niektóre błądziły tylko zawiłymi, fałszywymi ścieżkami, inne znów wybiegały naprzeciw nauce. Taka właśnie naukowa postać marzenia musiała być dobrze znana wielu uczonym; w roku 1879 polski inżynier Abdank-Abakanowicz skonstruował integraf**), a w 1904 Rosjanin Kryłow zbudował mechaniczną maszynę do całkowania. Żmudne równania różniczkowe zostały przełożone na język obrotu skomplikowanego systemu kół zębatych i wałów, znajdujących poszukiwane rozwiązanie dużo szybciej od rachmistrzów.

Angielski fizyk Hartree, badając strukturę atomu spędził piętnaście lat nad wyliczeniami. Jest to niemal czwarta część życia, a nauka zna przecież dziesiątki problemów, nad którymi stuosobowe zespoły rachmistrzów mogą głowić się przez stulecie z górą! Trzeba więc liczyć szybciej; w wieku pary i elektryczności udawało się to jeszcze przy pomocy skromniutkiego arytmometru, w wieku telewizji i energii atomowej nie wypada wprost wolniej, niż z szybkością światła. O, tu właśnie jest pole popisu dla elektroniki — impulsy elektryczne prześcigają nawet myśl.

John Mauchly i Prosper Eckert wiedzieli o tym doskonale, zabierając się wspólnie do budowy maszyny matematycznej zupełnie nowego typu. Budowali cztery lata, aż w końcu roku 1945 ujrzał światło dzienne ENIAC. Eureka! „Electronc Numerical Integrator and Computer" wyciąga pierwiastek kwadratowy z dziesięciocyfrowym rezultatem w jedną trzydziestą ósmą sekundy! Pojedyńcze dodawanie zajmuje mu tylko pięciotysięczną część sekundy!

Maszyna, licząca szybciej od myśli — owszem, to brzmi bardzo ładnie i imponująco. Cóż jednak z tego, jeśli wszelkie bliższe szczegóły o niej są zazdrośnie strzeżone? Wiadomo tylko, że waży 30 ton, zawiera 18.800 lamp, a „rozmawia" się z nią za pomocą perforowanych taśm...

Nie dziwmy się więc, że z pewnym powątpiewaniem patrzono na młodziutkiego inżyniera, który wraz z dwoma przyjaciółmi w 1950 roku zaofiarował swoje pomysły Państwowemu Instytutowi Matematycznemu. Życie cisnęło jednak na nowopowstałą placówkę naukową, kazało myśleć albo o założeniu specjalnego Biura Obliczeń — albo też o budowie polskiej elektronowej maszyny matematycznej. Zdecydowano: „No więc niechże ten Łukaszewicz buduje".

Inżynier Leon Łukaszewicz przeniósł się zatem z Pragi do śródmieścia i poprosił o zwolnienie z obowiązków asystenta Politechniki. Razem z nim, w kierowanej przez doktora Greniewskiego Grupie Aparatów Matematycznych, rozpoczęli pracę inżynierowie Marczyński i Bochenek. Każdy z nich miał tylko pewien ogólny pomysł. Łukaszewicz wiedział: na początek potrzebna jest jeszcze nie maszyna cyfrowa, jak ENIAC, ale prostszy analizator równań różniczkowych. Resztę trzeba dopiero wymyśleć.

RACHUNEK WYWODZI SIĘ Z ŻYCIA...

Andrzej Świtalski interesował się w gruncie rzeczy mechaniką i z tego powodu wstąpił do Technikum na Śniadeckich 17. „Małą maturę" zdobył w czerwcu 1950 roku, mając lat dziewiętnaście i od razu zaczął rozglądać się za pierwszą pracą zawodową. Pochodził ze Lwowa, wojna rozdzieliła go z ojcem i rzuciła na łaskę losu i dalszej rodziny gdzieś na Suwalszczyznę. Warszawa, gdzie mieszkał u ciotki na Noakowskiego, była mu wciąż jeszcze obca i onieśmielająca. Na szczęście kolega z tego samego domu, Śliwicki, zaproponował mu: „Jędrek, może byś tak popracował trochę u nas?"

„U nas" — znaczyło: w Instytucie Matematycznym. Andrzej postanowił zaryzykować i tak latem 1950 roku zjawił się na Śniadeckich 8 nowy laborant — wysoki, ciemnowłosy chłopak o pociągłej twarzy i nieco nieśmiałych ruchach. Łukaszewicz, który pracował już nad swoim projektem od lutego, wchodził właśnie w stadium doświadczeń laboratoryjnych. Andrzej Świtalski niespodziewanie znalazł się w kręgu spraw nieznanych nawet doświadczonym fachowcom od elektroniki, a cóż dopiero jemu. Laboratorium pracowało nad urządzeniami sterującymi przyszłą maszyną impulsami elektrycznymi, zewsząd sypały się niezrozumiałe uwagi o kształcie impulsów, częstotliwości, warunkach pracy lamp — tymczasem Andrzej z trudnością odróżniał woltomierz lampowy od signal - generatora.

Był uparty, więc nie zrezygnował. Ślęczał nad swoim stołem przerabiając zadane doświadczenia i notował wyniki, nie bardzo pojmując ich sens. Pomagał mu zatem jego imiennik, magister Łazarkiewicz — jeden z najbardziej zasłużonych członków kolektywu, budującego tę przedziwną maszynę. Świtalski chodził na seminaria szkoleniowe dla laborantów — było to jednak niewystarczające. Wstąpił do wieczorowego Technikum Radiowego na Hożej i uczył się, nie przerywając pracy w zespole budującym „mózg elektronowy". Zespół zaś, nieliczny i rozrastający się powoli, składał się w ogóle z młodych ludzi, którzy uzupełniali wciąż swe studia. Andrzej Łazarkiewicz uporał się z dwoma fakultetami. Inżynier Łukaszewicz w 1950 roku skończył studia matematyczne na UW. W dwa lata później obronił pracę doktorską na Politechnice, mając już zakończony niemal projekt budowy swej maszyny elektronowej.

W tym czasie laborant Świtalski przedarł się przez gęstwę pierwszych trudności i zaczął pojmować coraz dokładniej ideę Łukaszewicza. Spośród wszystkich „spraw do załatwienia", wysuwanych przez technikę pod adresem matematyków, najbardziej potrzebne życiu jest szybkie rozwiązywanie równań różniczkowych — tej „arytmetyki przyśpieszenia i kształtu", niezbędnej każdemu konstruktorowi. Zamierzeniem Łukaszewicza było zbudowanie „mózgu elektronowego", który z podanych mu danych wyliczy błyskawicznie niewiadomą funkcję.

Rachunek różniczkowy wywodził się z życia. Każde równanie wyprowadzone jest ze zjawisk, zachodzących w naturze — cóż więc, gdyby spróbować rozwiązywać równania nie na papierze, a poprzez podpatrywanie odpowiednich ruchów? Zamiast obserwować na przykład wydłużenia sprężyny z drgającym na jej końcu ciężarkiem, wygodniej jest nam śledzić bieg prądów w obwodzie, złożonym z kondensatora, oporu i cewki indukcyjnej. Oto i najzwięźlej wyłożona zasada l i c z e n i a p r z e z r e a l i z a c j ę.

Od pomysłu daleka droga do celu. Krok za krokiem posuwał się zespół młodych naukowców, szukając w setkach doświadczeń potrzebnych układów elektrycznych. Prawo wydłużeń sprężyny da się wyrazić prostym wzorem, a więc i nieskomplikowanym układem. „Mózg elektronowy" powinien jednak „orientować się" trafnie w wielu trudniejszych sprawach. W oscyloskopach na stole Andrzeja Świtalskiego wiły się i trzepotały jasne linie, wskazując najczęściej, że daleko jeszcze do poszukiwanego rozwiązania. Przez cztery lata trwały poszukiwania układów mnożenia funkcji i już, już zdawało się, że znaleziono właściwy schemat — lecz zaraz okazywało się co innego. Nie można było uzyskać dokładności większej niż 3 proc. — a cóż jest warta maszyna do liczenia, która pracuje z takim „luzem"...

Trzeba było kilkaset żmudnych prób, zanim udało się osiągnąć dokładność do pół procentu. Wyobraźcie więc sobie tę pełną triumfu chwilę, gdy 2.IV. 1954 r. zakończono montaż pierwszego polskiego „mózgu elektronowego" i strumienie elektronów nakreśliły na ekranach oscyloskopów pierwsze rozwiązanie...

Przerywam Świtalskiemu:

— A wy?

— Ja?... Ja studiuję teraz w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej. Chcę pracować nadal w tej dziedzinie — powiada laborant i zaraz zmienia temat. — Mieliśmy masę roboty po zmontowaniu maszyny, ciągle nam się coś psuło. Błędne połączenia, figle lamp, jakieś niespodzianki...

Nie przesadzaj, nie można tak, Andrzeju — myślę, że ludzie są bardziej godni uwagi niż ich maszyna. Nawet jeśli jest to ten oto ARR.

*

ARR — to znaczy: Analizator Równań Różniczkowych. Skromna to nazwa, gdy mowa o pięćsetlampowej aparaturze, która lotem błyskawicy przeprowadza najtrudniejsze wyliczenia i dwadzieścia pięć razy w ciągu sekundy powtarza rozwiązanie na swych ekranach. Prosty ruch gałki pozwala konstruktorom obliczyć z dokładnością do 1—2 proc. na przykład zachowanie się projektowanego samolotu w powietrzu lub w mgnieniu oka rozwiązać zawiłe równanie różniczkowe ó s m e g o r z ę d u.

Opuszczam jednak gmach przy ulicy Śniadeckich już nie pod urokiem sześciu metalowych szaf, w których plączą się zawiłe drogi przewodów i cicho mruczą transformatory. Na górze, w oknach płoną wciąż światła — tam pracuje garstka młodych naukowców, twórców pierwszego w Polsce „mózgu elektronowego". Chciałbym powiedzieć jeszcze coś o nich, lecz nie bez powodu wszystkie myśli krążą wokół jednego, prostego zdania. No cóż, chyba wypadnie napisać to tak: powiadają, że młodość przenosi góry, więc...

Więc wymyślili i ARR.

*) Przekład Józefa Paszkowskiego.

**) Integraf — przyrząd do wykreślania krzywej, stanowiącej poszukiwane rozwiązanie równania.

JERZY WOROWIECKI

„Kto nie wejdzie do tygrysiej jamy"

Wielu z was marzy zapewne o Szkole Teatralnej. Jeszcze przed czterema laty kandydat przychodził na egzamin, wykrzyczał dwa lub więcej wierszy czy fragmentów prozy i na tej podstawie oceniało się, czy stanowi on materiał do szkolenia na aktora.

Oczywiście tego rodzaju praktyki dawały zupełnie minimalne szanse sprawdzenia ewentualnych uzdolnień aktorskich. Nie było wówczas innych możliwości.

Obecnie już w marcu zaczynają działać we wszystkich większych ośrodkach życia teatralnego tzw. poradnie złożone z fachowców mających ocenić i poradzić czy kolega X lub koleżanka Y posiada normalną wymowę, czy ich konstrukcja fizyczna nie będzie dla nich przeszkodą w pracy na scenie, i czy wiersz lub proza wyłoszone przez nich nie stoją w jawnej kolizji z uznanymi na całym świecie zasadami zdrowego rozsądku oraz wykazują choćby w jakimś niewielkim procencie emocjonalne zaangażowanie się referujących. Poza tym jeszcze poradnia sprawdza stopień interesowania się teatrem.

Przejdźmy teraz do dróg, jakimi kroczą dziś przyszli Jaracze i Modrzejewskie.

Fachowcy zalecają, powiedzmy, zdawanie egzaminu i wtedy sprawa jest prosta. Fachowcy odradzają i wtedy są dwie drogi. Część (ta rozsądniejsza) rezygnuje i idzie np. na stomatologię, a część (ta uparta) staje do egzaminu.

Spośród kilkuset kandydatów wybiera się kilkudziesięciu zdradzających największe uzdolnienia aktorskie i ci zostają zakwalifikowani na obóz przygotowawczy, trwający 2 tygodnie. W tym czasie chłopcy i dziewczęta przechodzą szereg najprymitywniejszych ćwiczeń aktorskich, wskazuje się im drogę pracy nad materiałem jaki przynoszą ze sobą (wiersze, proza, ewentualnie sceny ze sztuk), wytrawni pedagodzy „przyglądają" się im i wreszcie na zakończenie obozu następuje egzamin decydujący o tych dwudziestu kilku najbardziej predystynowanych do Szkoły. System ten w dużym stopniu eliminuje element przypadkowy i stwarza możliwości dopływu do szkół ludzi, którzy rokują największe nadzieje na przyszłość.

Specjalnym udogodnieniem dla kandydatów jest możność asekurowania się na wypadek nie przyjęcia do Szkoły, która wymaga specyficznych bądź co bądź kwalifikacji. To asekurowanie się polega na możliwości złożenia „papierów" w jakiejkolwiek innej uczelni, gdy się nie powiedzie w szkole aktorskiej.

Korzystając z uprzejmości kierownictwa warszawskiej PWST miałem okazję przyjrzeć się kilkakrotnie pracy poradni. Nie był to radosny widok. Pozwólcie przytoczyć kilka przykładów, które pomogą zobrazować stosunek do teatru, poziom ogólnokulturalny i sprawę tzw. „bakcyla teatralnego" u znacznej części kandydatów do zawodu aktorskiego.

Koleżanka R. S. lat 19 z W-wy na pytanie co ją skłoniło do wybrania tego właśnie kierunku powiada:

— Bardzo dużo tańczyłam w szkole, to powiedzieli, że powinnam iść do Szkoły Teatralnej.

Owszem, grała w amatorskich przedstawieniach: „Walka trwa" oraz „Będę sołtysem". Nazwiska autora (a może autorów) tych sztuk nie pamięta. Może to i lepiej, aliści zawsze to wypada pamiętać nazwisko „swego" autora.

Czy zna nazwiska jakichś aktorów? Tak — pauza — coraz dłuższa pauza, wreszcie: Bogdan Nowinowski (cisza... koniec). Bardzo cenię talent Bogdana Niewinowskiego, ale mam pewne nieskrystalizowane podejrzenia, że poza nim istnieje jeszcze w Polsce kilku aktorów. Na czym była ostatnio w teatrze? Na „Zemście" (premiera odbyła się n. b. dwa lata temu). Nazwiska reżysera, rzecz jasna, nie pamięta.

A oto inny kandydat: P. S. spoza Warszawy. Pragnie pracować w zawodzie, którego głównym środkiem

oddziaływania jest poezja. Nie umie na pamięć ani jednego wiersza. Poproszony o zanucenie jakiejkolwiek piosenki celem sprawdzenia nośności głosu śpiewa: „wlazł kotek na płotek po żerdzi"... tam jest jeszcze coś dalej — powiada i uśmiecha się porozumiewawczo do ludzi starszych od siebie o dwa i trzy pokolenia. Taki filuterny, wiecie!

M. A. z Warszawy ostatnio bawił na „Mężu i żonie" (premiera 5 lat temu, drobiazg!). Powiedzcie sami, czy ktokolwiek z was kto był na tym znakomitym przedstawieniu nie pamięta nazwiska, bądźmy minimalistami, choćby Romanówny i Kreczmara? Jemu te oba nazwiska nic nie mówią.

Są jednak i tacy, którzy przychodzą „przygotowani" na wszelkie pytania. Ich nie „zagniesz", chytre bestie!

— Ięc widziała pani ostatnio „Intrygę i miłość". Możemy usłyszeć pani zdanie na temat gry aktorów, proszę mówić najprościej swoimi słowami.

I otóż.

— Znakomicie wczuła się w rolę Nina Andrycz. Milecki był rozkosznym kochankiem, niezapomnianym przeżyciem była Luiza Ewy Krasnodębskiej...

Biedactwo nie wzięła pod uwagę, że i zadający pytania czytują gazety.

I wreszcie, by zakończyć ten ponury korowód przytoczę in extenso jeszcze jedną rozmowę:

— Dlaczego wybiera pani ten właśnie zawód i czego pani od niego oczekuje?

— Lubię teatr i szukam zadowolenia z pracy aktorskiej.

— Bardzo chwalebne. Ale zdaje sobie pani sprawę, że tego rodzaju stwierdzenia bardzo zobowiązują..

Uśmiech i...

— Oczywiście, gotowa jestem wykazać, że naprawdę kocham teatr.

— Dobrze. Była pani na „Niemcach". Czy pamięta pani w jakim teatrze jest ta sztuka grana i kto ją reżyserował?

— Nie...

— Co pani mówi nazwisko: Leon Schiller?

— Jest aktorem.

— Była pani na „Pojedynku" — czy może pani powiedzieć, kto jest autorem tej sztuki?

— Nie...

—Czy zna pani nazwiska jakichś recenzentów?

— Nie (to już może i lepiej).

Pytanie stawia Rektor Aleksander Zelwerowicz.

— Może pani wymienić nazwiska jakichś wybitnych aktorów?

— Tak, np. Zelwerowicz...

— Hm, to duży komplement. A w jakiej sztuce pani mnie widziała?

— „Słyszałam przez radio.

Spuśćmy zasłonę miłosierdzia na koniec tej sceny — jak mówi nasz wspólny przyjaciel Mark Twaine.

Czy tylko tego typu kandydaci zgłaszają się do egzaminu i czy nie warto poświęcić kilka słów tym sprawiedliwym, autentycznym „wirusem teatru"? Nie, nie warto! Za rzeczy oczywiste i wynikające z normalnego biegu rzeczy nikt jeszcze, chwalić Boga, orderów nie rozdaje. Mój

(Dokończenie na str. 7)

List do Joanny

Droga Joanno!

Odpowiedzieć na Twoje pytania nie jest łatwo. Zastanawiałam się przez kilka dni i dopiero dziś siadam do pisania. Może to, co przeczytasz w tym liście nie będzie rzeczowe, głęboko uargumentowane, ale wierz mi — będzie na pewno szczere.

Jak zrodziło się we mnie pragnienie studiowania filologii rosyjskiej? Otóż zaczęło się to wszystko od niewielkiego opowiadania Turgieniewa „Asia". Nie wiem, czy znasz to opowiadanie. Ja słyszałam o nim jeszcze w 44 roku. Ale opowiem Ci wszystko po kolei.

W czterdziestym czwartym mieszkałam u matki, w małej wiosce pod Kraśnikiem. Gdy przyszła do nas Armia Czerwona, miałam dwanaście lat i bałam się ludzi. Strach mój zrodził się na kilka dni przed wyzwoleniem, gdy do naszej wsi wtargnęła banda faszystowska. Spędzili wszystkich na plac, otoczyli kordonem. W tym samym czasie inni bandyci rabowali chałupy. Herszt bandy stanął przed nami i powiedział, że jesteśmy bolszewicką wsią, czekamy na czerwonych i będziemy za to ukarani. Potem wywleczono z tłumu kilku mężczyzn i na miejscu rozstrzelano. Tak zginął mój ojciec.

Bałam się odtąd, obcych ludzi, którzy przychodzili do naszej wsi z karabinami. Lękałam się również radzieckich żołnierzy, choć matka mówiła, że nic złego nam nie zrobią.

Gdy we wsi zatrzymał się oddział Armii Czerwonej, do naszego domu przybył nowy mieszkaniec — lejtenant Siergiej Kirsanow. Pamiętam go jak dziś: średniego wzrostu, krępy, z niesfornie sterczącymi blond włosami i drgającą lewą brwią — ślad po kontuzji. Pamiętam jeszcze, że oczy często mu się śmiały i że pochodził z Uralu.

Nie mogłam się do niego przyzwyczaić. Kiedy rozmawiał z matką — chowałam się, gdy próbował mnie przywołać — uciekałam z izby. W pamięci jeszcze nie wygasły postacie żołnierzy hitlerowskich i tych z NSZ-owskiej bandy...

Potem dziwiłam się: żeby oficer chodził dla matki po wodę, drzewo pomagał rąbać? Nie mogłam tego zrozumieć. A mamusia po pewnym czasie zaczęła go nazywać: Sierioża.

Kiedyś w nocy rozpoczęła się nagle strzelanina. Lejtenant Kirsanow zerwał się z posłania, po chwili nie było go w izbie. Strzały sypały się coraz gęściej. Naciągnęłam pierzynę na głowę, wstrząsały mną dreszcze. Zanikający już strach obudził się znowu.. Po godzinie strzały ucichły, lejtenant wrócił do izby, cały zabłocony.

— Bandity, mamasza. Da, my ich prognali.

Pojęłam te słowa, powiedziane w obcym języku. Już nie chowałam się na widok Sierioży. Przestał być obcy.

Czasami, w wolnych chwilach, bawił się ze mną — przy pomocy ziemniaków i zapałek tworzył dziwaczne karzełki, psy, słonie, żyrafy. Albo wyciągał z kieszeni pomięte fotografie, które wspólnie oglądaliśmy.

— Eto moja mama. A eto siestrionka — wskazywał palcem na drobną, uśmiechniętą dziewczynkę. — Pochoża na tiebia.

Coraz lepiej rozumiałam to, co do mnie mówił. Sierioża nawet próbował uczyć mnie języka rosyjskiego — wymawiał poszczególne słowa, a ja za nim powtarzałam.

Rozumiesz, Joasiu, przywiązałam się do niego. Nawet mama dziwiła się, bo na ogół byłam dzika i stroniłam od ludzi. Gdy nie było go przez kilka godzin, markotniałam, nudziło mi się, wypatrywałam czy nie nadchodzi.

Nazywał mnie — Asia. Początkowo myślałam, że tak brzmi po rosyjsku imię Hanka. Potem spytałam Sieriożę, dlaczego mnie tak nazywa.

— Turgieniew napisał piękne opowiadanie o pewnej dziewczynie, która tak się nazywała. Jesteś podobna do tej dziewczyny. Asiu. Może kiedyś przeczytasz to opowiadanie.

— Opowiedz mi je, Sierioża.

Opowiedział, starając się dobierać słowa najprostsze, abym mogła zrozumieć. Opowiadał o dziewczynie, która lubiła wspinać się po skałach, uciekała przed ludźmi i umiała głęboko i pięknie czuć.

Potem opowiadał mi treść wielu jeszcze książek — autorów dawnych i współczesnych. Za każdym razem obiecywałam sobie, że koniecznie tę książkę przeczytam i prosiłam, żeby jeszcze coś opowiedział. Trudno mi pisać o wszystkich doznaniach pod wpływem tych opowieści. Ale wyobraź sobie, Joasiu, prostą wiejską dziewczynę, przed którą odkryto świat pełen niezwykłych ludzi, pięknych czynów, poezji... Jeszcze mocniej polubiłam lejtenanta Sierożę.

Znów obudziła mnie w nocy strzelanina. Rozejrzałam się — lejtenanta nie było w izbie. Strzelano od strony lasu, potem seria karabinu maszynowego rozległa się zupełnie blisko. Matka przytuliła mnie do siebie, powoli pogłaskała po głowie:

— Nie bój się, Haniu. Nasz Sierioża przepędzi bandytów. Nie bój się, córeczko.

Nie bałam się już tak, jak wtedy. Wiedziałam, że lejtenant i jego żołnierze obronią nas na pewno.

Po pewnym czasie odgłosy strzałów zaczęły się oddalać, aż zupełnie zamilkły. Patrzyłam na drzwi, nasłuchując znajomych kroków. Minęło pół godziny, godzina. Lejtenant Kirsanow nie nadchodził. Wreszcie rozległy się ciężkie, obce kroki. Do pokoju wszedł żołnierz z naprędce obandażowaną ręką.

— Matko, naszego lejtenanta... faszyści zabili... Prosto w głowę dostał, niosą go tutaj...

*

Dopiero po kilku latach wpadła mi w ręce „Asia" Turgieniewa. Przeczytałam opowiadanie jednym tchem, a przed oczami stała mi uśmiechnięta twarz Sierioży. Czegoś mi jednak w tym brakowało. Przecież czytałam „Asię" po polsku — a on opowiadał mi ją w swym ojczystym języku. Uczyłam się już wówczas w szkole rosyjskiego, ale słabo jeszcze znałam ten język. Jednak spróbowałam przeczytać „Asię" w oryginale. Szło mi to z wielkim trudem, a przecież w trakcie czytania słyszałam śpiewny, głęboki głos Sierioży. Rozumiesz, Joasiu... Lejtenantowi Sierioży zawdzięczam miłość do literatury rosyjskiej. To On mnie z nią poznał. On ukazał mi pierwsze zarysy jej piękna.

Przeczytałam te wszystkie książki, o których opowiadał mi Sierioża. Potem czytałam wiele innych, jedną po drugiej i w każdej znajdowałam coś nowego, odkrywałam niezwykłe bogactwa, prawdę o życiu, nieprzemijające piękno.

Często spotykałam w tych książkach lejtenanta Kirsanowa. Raz był to Sergiusz z „Burzy" Erenburga, innym razem Aleksander Matrosow; spotykałam Go w „Młodej Gwardii" i w „Opowieści o prawdziwym człowieku".

Wiesz, że lubię wiersze. Czytałam poezje Puszkina, Majakowskiego, Szczipaczowa i nie mogłam zadowolić się przekładami. Chciałam poznać je w oryginale, aby nic nie utracić z ich piękna. Z pasją wzięłam się za naukę języka rosyjskiego. Po niedługim czasie mogłam już czytać i prawie wszystko rozumiałam, ale nie szło mi dobrze. To tylko pojęłam, że język rosyjski jest tak bogaty i piękny, że pełne jego opanowanie wymaga wiele, wiele trudu. Ale warto nie szczędzić tego trudu, Joasiu. Przecież w tym właśnie języku tworzyli Łomonosow i Dierżawin, Lermontow i Dostojewski, Czechow i Gogol. Tym językiem mówił Lenin. Tego języka używała Zoja Kosmodemiańska, Oleg Koszewoj i lejtenant Sierioża Kirsanow.

Lejtenanta Kirsanowa pochowano w naszej wsi. Zawsze, gdy przyjeżdżam latem do domu, idę na Jego grób. Nie ma tam pięknego pomnika ze złotymi literami. Na małym pagórku stoi drewniany postument z czerwoną gwiazdą i wyblakłym napisem: „Lejtenant S. N. Kirsanow zginął śmiercią bohatera dwunastego września 1944 roku". Zanoszę Mu trochę kwiatów z naszego ogródka i rozmawiam z Nim. To nie jest ckliwy sentymentalizm, Joasiu. Po prostu mówię do starego przyjaciela i wydaje mi się, że słyszy mnie, rozumie i odpowiada. Każdemu mogą zdarzyć się takie chwile i każdy ma do nich prawo.

Sierioży pierwszemu zwierzyłam się z mej decyzji. Powiedziałam Mu, że postanowiłam studiować Jego język, Jego literaturę, historię Jego narodu. Powiedziałam Sierioży, że chcę poznać i zgłębić przepiękną kulturę i tradycję narodu rosyjskiego, chcę przekazywać jego bogactwa mojemu narodowi. Powiedziałam Sierioży, że będzie to mój skromny wkład w jeszcze mocniejsze zacieśnienie przyjaźni naszych narodów. Wydawało mi się, że widzę jego uśmiech, że lejtenant Kirsanow uścisnął mi dłoń.

*

Jestem studentką filologii rosyjskiej. Nauka idzie mi bardzo dobrze — z dwóch względów. Dlatego, że jest piękna, ciekawa, daje mi dużo wewnętrznego zadowolenia. I dlatego, że z zadania, jakie przed sobą postawiłam, chcę wywiązać się jak najlepiej.

Pytasz mnie Joanno, czy powinnaś pójść na filologię rosyjską. Coż, to Twoja sprawa, nie chcę narzucać Ci swego zdania. Jeśli jednak zdecydujesz się na to — sprawisz mi wiele radości. Przecież jesteśmy przyjaciółkami, a wspólny cel w życiu zwiąże nas jeszcze mocniej. Tym bardziej, że cel to szlachetny i szczególnie piękny.

Twoja

HANKA POLESZCZUK

NIEUSTAJĄCY KONKURS POD REDAKCJĄ DR ANDRZEJA NOWICKIEGO

ZADANIE 51

Czyj obraz?

Podać nazwisko malarza. Na jakie imię wygląda modelka?

ZADANIE 52

Układamy złote myśli

Kto potrafi wymyślić najgłębsze zakończenie do następujących rozpoczętych złotych myśli:

1. Jeżeli wahasz się między dwoma kierunkami studiów, wybierz...
2. Jeżeli czujesz, że ogarnia cię wściekłość i przestajesz nad sobą panować...
3. Gdyby ktoś wynalazł aparat do fotografowania snów...
4. Kiedy widzę człowieka, tchórzącego przed samym sobą...
5. Najlepszą powieścią byłaby taka, w której...
6. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że... ale...

ZADANIE 53

Trzy zagadki o piekle

1. Których papieży i za jakie zbrodnie umieścił w „Piekle" Dante Alighieri?
2. Którego świętego i za co umieścił w piekle Adam Mickiewicz?

Dla ułatwienia podajemy słowa tego świętego: „Często lud stawi kościół, kłania się pobożnie — takiemu, co się z nami obraca na rożnie".

3. Kto 23 marca 1949 roku nakazywał autorytatywnie księżom, aby w swoich kazaniach częściej mówili o piekle?

ZADANIE 54

Teologiczne zasady wychowania

Kto pragnie wychować dziecko zgodnie z Pismem Świętym, ten powinien dobrze przemyśleć następujące zdania z Księgi Przypowieści Salomowych:

„Nie odejmuj od dziecięcia karności; bo jeśli go ubijesz rózgą, nie umrze. Ty go ubijesz rózgą, a duszę jego z piekła wybawisz". (rozdz. XXIII, wiersze 13 i 14 w przekładzie księdza Jakuba Wujka, potwierdzonym przez Stolicę Apostolską i ks. Arcybiskupa Gnieźnieńskiego).

Należy objaśnić tekst albo nadesłać ilustrację.

Odpowiedzi

Do Redakcji POPROSTU.

Piszę już do Was po raz drugi. Zadania konkursu rozwiązuję na bieżąco, gdy tylko otrzymam kolejny numer POPROSTU, jednak rozwiązania nadsyłam nieco później, nie wiedziałem bowiem, że i ja mogę wziąć udział w Waszym konkursie — nie jestem przecież jeszcze studentem. Skoro jednak informujecie mnie, że przyznano mi VIII nagrodę za m-c marzec, to z nową wiarą przesyłam rozwiązanie następne.

Zadanie 24 — „Maupassant o kobietach".

Ze zdaniem Maupassanta, przynajmniej w zastosowaniu do naszej rzeczywistości, zgodzić, niestety, się nie można. Patrzmy na życie. Wskażcie mi dzisiaj przykład w którym dziewczyna, kobieta musiałaby być nieszczęśliwa z tej racji, że nie wywodzi się z rodziny z tradycjami, wskażcie mi kobietę, która nie mogłaby zdobyć zajęcia tylko z tej racji, że przyroda nie obdarzyła ją zbytnią urodą. Mimo to jednak przyznać musimy, że piękność, wrodzona subtelność, bystrość umysłu, odgrywają niemałą rolę w szczęściu osobistym dziewczyny, chociaż nie są czynnikami decydującymi. Wymienione przymioty niewątpliwie odgrywają niemałą rolę w życiu towarzyskim, mimo że nie zawsze wystarczają do znalezienia szczęścia osobistego.

Zadanie 40 — Na polach ryżowych.

— Prosty rachunek: Jeśli istnieje sprawiedliwość, jeżeli stosunkami w państwie włoskim rządzą jakieś prawa i jeśli robotnice zarabiają 2—6 tys. lirów miesięcznie, a dochody biskupa Modeny, również miesięczne, wynoszą 900 mil. lirów, to trud biskupa jest większy 150 — 450 tys. razy. Mamy tu dwie możliwości — albo trud owego biskupa jest naprawdę tak wielki (przecież biskup musi zapracować na beztroskie, szczęśliwe życie wieczne tych robotnic) albo też coś z tą sprawiedliwością nie jest w porządku. Raczej to drugie — prawda?

JÓZEF KORECKI, Liceum Ogólnokształcące (kl. XI-a), Rydułtowy, woj. Stalinogród.

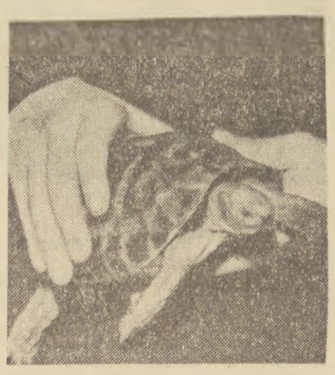

Oto żywy żółw, którego uroczyście odbiera w Redakcji POPROSTU zdobywca II nagrody za m-c marzec — kol. Jerzy Ćwiękała z Uniwersytetu Warszawskiego.

Jak zostałem odlewnikiem

(dokończenie ze str. 1)

Odlewnictwo to dziedzina gospodarki, która w Polsce Ludowej burzliwie się rozwija. Perspektywy są olbrzymie. Weźmy chociażby podstawowe zakłady przemysłowe, które się budują, lub które będą budowane. FSO na Żeraniu, FSC w Lublinie, Huta „Bierut" w Częstochowie, Nowa Huta, Zakłady Metalurgiczne w Poznaniu, w Myszkowie, w Starachowicach, w Warszawie, Fabryka Maszyn Żniwnych w Poznaniu i wiele innych obiektów powstałych po wojnie, lub stale się rozbudowujących. Zakłady, w których pracują, są w stanie zatrudnić dziesiątki inżynierów-odlewników. Każdy inżynier-odlewnik jest prawie że dosłownie rozrywany.

Praca odlewnika nie jest związana — jak to się powszechnie uważa — z naszym Śląskiem przemysłowym. Porozrzucane po całym kraju zakłady posiadające odlewnie stwarzają możliwości wyboru miejsca pracy tam, gdzie się ma rodzinę lub gdzie chciałoby się mieszkać. Można więc zlikwidować mit o tym, że praca odlewnika musi odbywać się w mieście zakurzonym, zadymionym, pełnym sadzy i zaduchu.

W przyszłej pięciolatce na terenie „Pometu" staną dwie całkiem nowe odlewnie. Ma to być trzeci co do stopnia mechanizacji i unowocześnienia zakład odlewniczy w świecie. A zakład ten potrzebuje młodych kadr inżynierów-odlewników.

JAN HAJEWSKI

HALINA WIEGNER

Poszukiwacze skarbów

Andrzeja Różkowskiego znam od wielu lat. Zawsze taki sam: gwałtowny, ruchliwy, wielki dryblas ze zwichrzoną czupryną i uparcie zarysowaną szczęką. Tyle w nim „wiercipięctwa" i niespokojnego ducha, tyle ciągłego poszukiwania pełnego wyżycia się w jakiejś nadzwyczajnej pasji, że Andrzej mógłby stać się żywym symbolem siły i młodości.

Byliśmy wszyscy szczerze zdziwieni, kiedy Andrzej obierając sobie kierunek studiów wstąpił na Akademię Górniczo - Hutniczą na wydział geologiczny. A jeszcze większe było nasze zdziwienie, kiedy Andrzej został przodującym studentem, asystentem, a wreszcie kiedy rozpoczął pracę nad badaniem doliny Sanu i wyjechał do Albanii...

Poważna, nudna geologia... i Andrzej! Para ta okazała się niespodzianie dobrana.

Dopiero dzisiaj, kiedy wiele godzin spędziłam wędrując po Akademii Górniczo - Hutniczej w Krakowie, po laboratoriach geologicznych — pomyślałam poważniej o wyborze Andrzeja. I doznałam brzydkiego uczucia zazdrości, że należy on do wtajemniczonych w tak niesłychanie ciekawe i pasjonujące tajniki wiedzy.

Prof. Tadeusz Bocheński odsłonił nam zaledwie maleńki rąbek tego czego uczą się studenci wydziału geologii, a dostaliśmy zawrotu głowy od zachwytu. Bo wyobraźcie sobie tylko wzruszenie, z jakim ogląda się kawałek węgla długości około 1,5 metra z dokładnym odciskiem kory drzewa sprzed tysięcy lat o którą ocierały się mamuty, dinosaurusy. Albo wspaniale zachowaną węglową szyszkę z widocznymi nasionkami. A już wprost nie do uwierzenia staje się fakt, że maleńkie, brązowe zarodniki pieczołowicie przechowywane w małym pudełku pochodzą z tej samej archaicznej ery, zaś otrzymano je działając stężonym kwasem na kawałek węgla.

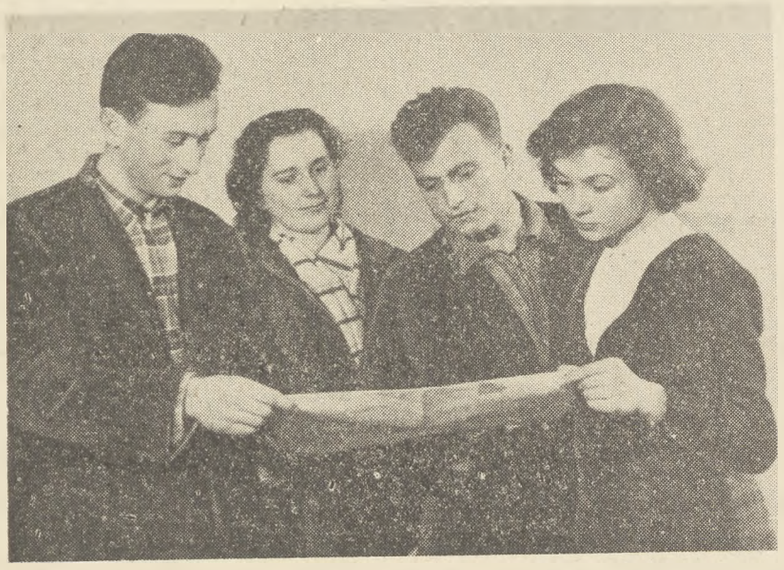

Nie tak dawno te dwie koleżanki: Basia Plebanek i Zosia Smelcal stały przed problemem wyboru studiów. Dziś są zapalonymi studentkami I roku wydziału geologicznego na Akademii Górniczo-Hutniczej.
Foto: Pindelski

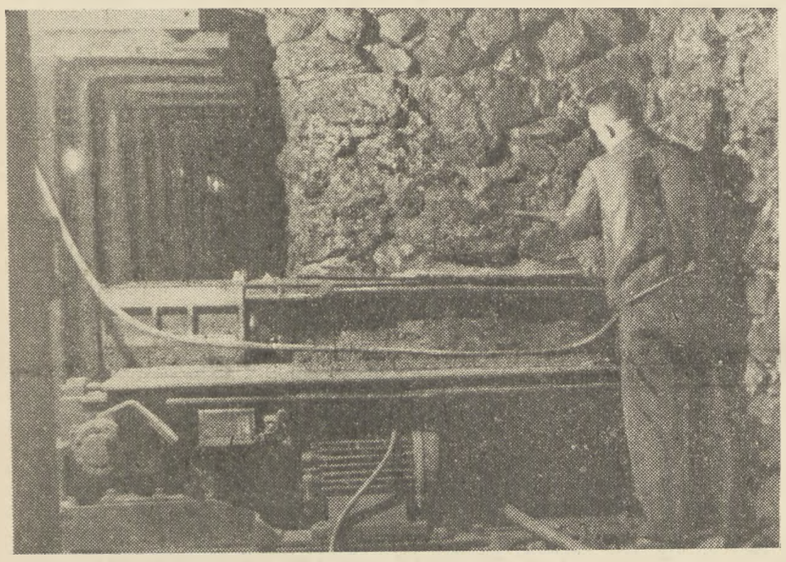

Przodownik pracy w kopalni „Batory" na szychcie? Nie! To fragment kopalni — laboratorium Akademii Górniczo-Hutniczej, gdzie przyszli inżynierowie uczą się instalacji nowoczesnych urządzeń mechanizacji górnictwa.
Foto: Pindelski

Podobnego wrażenia doznaliśmy, kiedy gościnny dziekan zaczął oprowadzać nas po małym muzeum geologicznym dla użytku studentów, gdzie oglądaliśmy mnóstwo najrozmaitszych minerałów o najdziwniejszych kształtach, barwach i odcieniach, kiedy po ich kształcie profesor poznawał z jakiego środowiska okaz został przywieziony, czy ulegał wpływowi wiatru czy wody, ile setek lat liczy; widzieliśmy kawałki zastygłej lawy z Wezuwiusza, głazy z pustyni Afryki i najdziwniej ukształtowane wapnie z Gór Świętokrzyskich. Pięknie polerowane kawałki węgla, ba, nawet nasze polskie złoto.

Niesamowity gwizd, szczęk i oślepiające światło oszołomiły nas w jednym z laboratoriów. Dziwacznie wydłużona w rozmaite strony aparatura — sprawczyni hałasu — jest właśnie jedną z najnowocześniejszych i najcenniejszych czarodziejskich „różdżek", które demaskują zawarte w najmniejszych drobinach pierwiastki, pomagają do wyszukania germanu, czy kadmu.

To cudo nowoczesnej techniki polega na tym, że wykorzystany jest tutaj specjalnie przekształcony aparat fotograficzny, który wykonuje zdjęcia zmielonego i rozgrzanego minerału. Na kliszy zdjęcie „fotografującego się minerału" wygląda jak siatka pionowych kresek. Każda kreska jest innej grubości i długości i oznacza inny pierwiastek. Geologowi znane są właściwości fali (kresek) każdego pierwiastka, dzięki czemu oglądając klisze pod epidiaskopem może określić jakie pierwiastki wchodzą w skład danego minerału.

Zwiedzając inne laboratoria wydziału geologicznego Akademii można tylko podziwiać jak dalece nowoczesna technika pomaga w pracy poszukiwacza-geologa. Czy śniło się przeciętnemu laikowi, że szeroko stosowany w medycynie Roentgen jest też jednym z podstawowych aparatów odkrywczych geologa?

Akademia Górniczo - Hutnicza kształci fachowców w trzech kierunkach: poszukiwania, eksploatacji i przeróbki surowców mineralnych. O ile podstawą kierunku poszukiwania jest wydział geologiczny, a kierunku eksploatacji — wydział górniczy, to zarówno eksploatacji jak przeróbce służy najnowocześniejszy i najciekawszy wydział Akademii — wydział mechanizacji górnictwa.

W czasie długiej wędrówki po labiryncie korytarzy, pięter i suteren w gmachu Akademii natknęliśmy się na „sztygara" z powieści Morcinka. W siwym mundurze górniczym, gładko do tyłu zaczesane włosy, twarde rysy ogorzałej twarzy. Takie było nasze pierwsze wrażenie przy spotkaniu z profesorem Lesieckim, dziekanem wydziału mechanizacji górnictwa. Szedł otoczony studentami do laboratorium-kopalni, dumy i chluby nie tylko wydziału, nie tylko Akademii, ale całej Polski i nawet Europy. Drugiej tak wspaniałej pracowni naukowej nie ma na całym kontynencie europejskim.

Ujrzeliśmy autentyczną kopalnię rozciągającą się na przestrzeni 3 tys. m kw. pod gmachem Akademii, z autentycznym pokładem węgla i kombajnem, ze stojakami podpierającymi strop, z całym skomplikowanym urządzeniem mechanizacji górnictwa, taśmami przewozowymi, wózkami, elektrowozami, wrębiarką.

Całe to laboratorium zostało zorganizowane dopiero niedawno przez prof. Lesieckiego przy udziale asystentów z mgr Ostrowskim — gospodarzem kopalni —na czele. Przy montażu kopalni pracowały także ochotniczo ekipy studentów, z których tacy jak kolega Piętak i Herdzyk poświęcali na to cały swój wolny czas. Za to kiedy w dniu 35-lecia Akademii laboratorium zostało otwarte, jego poziom wprawił w osłupienie licznych gości.

Poza tym, że Akademia wzbogaciła się o tak niezwykle cenną pracownię, budowa tego laboratorium spełniła jeszcze inną rolę. Wielogodzinna praca, wspólne mozolenie się w piwnicach Akademii wraz z profesorem i asystentami — wszystko to niezwykle zespoliło studentów i sprawiło, że wydział mechanizacji górnictwa jest jednym z najbardziej zgranych i zżytych wydziałów.

Kiedy w roku 1945 prof. Lesiecki przystąpił do organizowania wydziału mechanizacji górnictwa — zaczynał od pustych czterech ścian z nieprzygotowanym audytorium słuchaczy, bez jednego podręcznika w języku polskim, bez potrzebnej ilości fachowców. Górnictwo polskie, które w roku 1945 było zmechanizowane zaledwie w 11 proc., postawiło sobie ambitne zadanie jak najszybciej zastąpić maszyną ciężki trud górnika.

I to, że dziś mechanizacja górnictwa w Polsce sięga wyżej 40 proc., że mamy już piękny dorobek dzieł naukowych z tej dziedziny, które są tłumaczone na język węgierski, chiński, niemiecki jest w olbrzymiej części zasługą właśnie kolektywu naukowego Akademii, a przede wszystkim prof. Lesieckiego.

Pierwsi studenci wydziału mechanizacji górnictwa zrozumieli i wyczuwali powagę zadania. Do dziś z różnych stron Polski prof. Lesiecki otrzymuje od swych absolwentów serdeczne kartki, telefony z Moskwy od swych aspirantów. Nastrój poważnej pracy i dużego zainteresowania przyszłym zawodem panuje nie tylko na tym wydziale. Można powiedzieć śmiało, że jest to charakterystyczna cecha w ogóle studentów Akademii Górniczo-Hutniczej. Ten sam wniosek nasuwa się obserwując studentów I roku wydziału metalurgicznego — Juliana Mieleckiego i Adama Nieboraka, którzy z całym zapałem mówią o wybranym zawodzie. To samo wyczuwa się u Jurka Kowalczuka—asystenta przy katedrze geofizyki. To samo u wielu, wielu innych, jakich tysiące studiuje na Akademii.

Akademia Górniczo - Hutnicza daje wspaniałą, ciekawą, wielokierunkową naukę posługującą się najnowocześniejszą techniką, dla której warto wpaść w pasję Andrzeja — geologa — poszukiwacza, czy Piętaka — pioniera mechanizacji górnictwa na Akademii.

Kilka słów o stypendiach

Dla każdego kto zamierza rozpocząć studia na wyższej uczelni, ważna jest nie tylko sprawa wyboru odpowiedniego kierunku. Istotnym problemem są również warunki w jakich będzie się uczył, gdzie będzie mieszkał, skąd weźmie na utrzymanie.

Przed wojną, kiedy na 49 000 studentów tylko 5,4% otrzymywało stypendia państwowe, na studia mogli sobie pozwolić jedynie ci, którzy mieli materialne oparcie w rodzinie. Nie lepiej było z mieszkaniami. W 22 domach akademickich mogło mieszkać zaledwie około 6 000 młodzieży.

Dziś proporcje te uległy zasadniczej zmianie. Na 136 tysięcy studentów stypendia otrzymuje 73% (przy czym na niektórych kierunkach — szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej — procent ten sięga nawet 90—95) a w 240 domach studenckich mieszka z górą 55 000 młodzieży. Domy te to w większości specjalnie wyposażone i przystosowane do potrzeb studentów nowoczesne osiedla. Warto dodać, że w przeciwieństwie do okresu sprzed roku 1939 obecnie wszyscy studenci korzystają z bezpłatnej opieki zdrowotnej — do leczenia sanatoryjnego włącznie, że większość korzysta ze stołówek studenckich, do których pokaźne sumy również dopłaca państwo, że wreszcie co roku około 15% studentów korzysta bezpłatnie z różnego rodzaju wczasów wypoczynkowych.

W świetle tego co powiedzieliśmy wyżej łatwo się zorientować, że dziś żaden student nie musi dawać korepetycji, zamiatać ulic, czy niańczyć cudzych dzieci, aby w ten sposób zdobyć niezbędne środki na opłacenie czesnego, mieszkania, zakup książek, i na utrzymanie...

Rozdziałem stypendiów, mieszkań w DS, kart stołówkowych, specjalnych zapomóg i tym podobnych pomocy dla studentów zajmują się władze uczelni. Kandydaci na studia, którzy pragną uzyskać stypendium lub mieszkanie w DS winni dołączyć do podania o przyjęcie odpowiednie umotywowanie podania. Na ich podstawie Wydziałowe Komisje Przyjęć po egzaminie wstępnym i po przyjęciu na dany wydział przyznają kandydatowi stypendium i mieszkanie.

Wysokość stypendiów jest różna na różnych kierunkach. Różnice na latach pierwszych wahają się w granicach od 270 do 380 zł. Na wszystkich kierunkach z każdym rokiem studiów stypendia wzrastają przeciętnie o 30 zł. Są również stypendia częściowe, otrzymują je ci studenci, których warunki materialne pozwalają na otrzymywanie częściowej pomocy od rodziny.

Już przy rozpoczynaniu studiów warto zapamiętać, że studenci, którzy wykazują dobre postępy w nauce otrzymują — począwszy od II roku — specjalne stypendia premiowe, tj. o 60 zł wyższe niż stypendium normalne. Studenci, którzy wykazują specjalne zainteresowania naukowe mają możność otrzymać stypendium naukowe. **M. K.**

Prof. dr JAN LEGOWICZ
Dziekan wydz. filozoficznego UW

Rola światopoglądu w życiu człowieka

Człowiek w życiu wiele potrzebuje. Dba o zdrowie, szuka zaspokojenia codziennych potrzeb, uczy się i kształci, zdobywa zawód, chce mieć dom, mieszkanie, radość i szczęście życia rodzinnego, odpoczywa, szuka spokoju i szczęścia, a nade wszystko chce być wolnym, zadowolonym, pełnowartościowym człowiekiem. Wszystko to tak oczywiste, że może nie warte wspomnienia.

A jednak?

A jednak postawa człowieka nie jest sprawą banalną. Jest coś, co przenika całe ludzkie życie to prywatne, najbardziej intymne i to społeczno-publiczne. Jest coś co „ustawia", uwarunkowuje, niejako „wycenia" naszą pracę i odpoczynek, wypowiadane słowa i milczenie, leniwy spokój i żarliwą walkę, nasz ból — i naszą radość, nienawiść ucisku, wyzysku, poniżenia człowieka i miłość wolności. Jest coś co poza ciekawością, poza pragnieniem otrzymania dobrego stopnia czy uzyskania zawodu, kieruje pracą ucznia czy studenta, coś, co poza nadzieją premii budzi czujność, ofiarną bojowość, wytrwałość i często samozaparcie pioniera, traktorzysty, górnika, spawacza, nauczyciela, lekarza, pracownika naukowego, coś, czego nie da się ująć premią, żadnym stopniem oceny ilościowej, ani — dyplomem, a co w rzeczywistości decyduje o człowieku, jego postępowaniu, pracy, bohaterstwie i wielkości. Tym czymś jest jego światopogląd, ideologia jego życia.

W parze z historią życia ludzkiego i ludzkiej pracy rozwija się działanie świadomości i ideologicznej postawy człowieka. Człowiek tworząc własną historię tworzył również swój pogląd na świat, przy pomocy którego tę historię realizował. Od chwili, kiedy stanął na dwóch nogach i zdobywszy narzędzie doświadczenia przekazał je swemu dziecku czy współtowarzyszowi walki o ludzkie życie, człowiek zaczął żyć jakąś „filozofią" i kierować się jakimś poglądem na świat. Różne to były „filozofie" i różnie określał człowiek swój stosunek do świata i życia ludzkiego. W historii społeczeństw klasowych dominowały filozofie, służące uciskowi człowieka, filozofie klas wyzyskujących. I przeciw nim w swej niewoli i nędzy buntował się człowiek. I w buncie i nędzy znajdował sprzymierzeńca w tym, z czym był codziennie związany: w przyrodzie, i w drugim, podobnym sobie, uciskanym i wyzyskiwanym człowieku. W ten sposób przez wieki historii człowieka szedł nurt buntowniczej, materialistycznej filozofii. Szukano praw i norm zdolnych do pokierowania ludzkim życiem w zależności od potrzeb i wymagań człowieka, jego natury, naturalnego i społecznego rozwoju, ludzkiej, dla wszystkich dostępnej kultury, a nie tego co reprezentował z racji klasowego pochodzenia nurt oficjalnej filozofii wyzyskiwaczy.

Wyzwolenie ideowe i materialne człowieka stało się jednak możliwe dopiero wówczas, kiedy do świadomości swych praw i siły doszedł proletariat, doszły masy ludowe mające jako skarb tylko ręce do pracy, wszystko do zdobycia w świecie i niczego prócz wielowiekowych kajdan — do stracenia. Dla nich poznanie i opanowanie świata przyrody i ludzkiego życia, przekształcenie świata i obalenie istniejącego porządku społecznego— stało się sprawą życia lub śmierci.

Jest rzeczą jasną, że jeśli chce się wyrwać człowieka z marazmu, ucisku, pohańbienia, pogardy ludzkiej godności, wyzysku i traktowania człowieka jako taniego narzędzia w kapitalistycznej machinie niewolnictwa towaru, to potrzeba temu człowiekowi dać inną, własną, bliską mu, na jego życiu opartą i temu życiu tylko służącą ideologię. Dać mu obiektywną naukę o tym świecie i człowieku, zapewnić mu naukową filozofię, która obiektywnie, pewnie i niezawodnie pokieruje jego życiem.

I ludzkiemu życiu w marksizmie został nadany nowy, obiektywny, głęboko humanistyczny sens; dzięki niemu człowiek pracy, jeszcze wczoraj przedmiot „wymiany towarowej", dziś staje się panem świata i własnego życia.

Żyjemy w okresie trudnym, a przede wszystkim w czasach, kiedy zamierające warstwy dotychczas panujące i wyzyskujące nie schodzą dobrowolnie z zajmowanych pozycji. Toczy się walka o życie; z jednej strony kilka tysięcy „wybranych" — z drugiej strony miliony budzące się do życia, gotowe poświęcić wszystko dla zdobycia i utrzymania praw człowieka.

Jeśli chcemy utrzymać już zdobyte pozycje, okupione krwią milionów, potrzeba by życie dzisiejszego człowieka, jego praca, wszystko co go tyczy na codzień było przeniknięte ideologią naukowego poglądu. Dlatego potrzebne są kadry pracowników frontu ideologicznego i ich żarliwa praca.

Chcemy, by nasz nauczyciel czy pracownik naukowy nie tylko obiektywistycznie przekazywał wiedzę i umiejętności ogólne czy zawodowe, ale aby z każdego jego słowa, ruchu, spojrzenia, uśmiechu, pochwały i nagany przebijała i dosięgała młodzieży głęboka treść ideologiczna, aby wszystko wiodło do wychowania nowego, socjalistycznego człowieka. Chcemy by postawa inżyniera, lekarza, pisarza, literata, artysty i wielu, wielu innych była postawą przepojoną przekonaniem o słuszności sprawy socjalistycznego człowieka, by treść ideologiczna również głęboko przepajała pracownie techniczne, jak salę przyjęć ośrodka zdrowia czy salę operacyjną, redakcję jak i pracownię pisarza, plastyka czy muzyka.

O to wszystko trzeba walczyć, potrzeba ludzi, których zawodem byłaby praca ideologiczna. Potrzeba całego frontu ludzi, których codzienną troską byłaby walka o przepojenie treścią naukowego poglądu na świat naszego życia prywatnego i publicznego, pracy zawodowej, naszej kultury, domu i ulicy, warsztatu i sklepu, jednym słowem każdego odcinka ludzkiej działalności. Takich ludzi wychowują i kształcą specjalne studia filozoficzne dostępne dla młodzieży, która pracę ideologiczną zechce uczynić swym zawodem.

Złożona i wieloraka jest funkcja pracownika frontu ideologicznego. Wielorakie i poważne jego zadanie. Ale najważniejsze to poznanie człowieka, jego ocena i ideologiczne ożywienie jego bytu, tego materialnego i duchowego, jego życia osobistego i publicznego, jego pracy zawodowej, jego pragnień i dążeń — życiową, obiektywną i społeczną prawdą filozofii i ideologii marksistowskiej.

KAŻDY UCZEŃ
OSTATNICH LAT
SZKOŁY ŚREDNIEJ
CZYTA
POPROSTU
PISMO STUDENTÓW
I MŁODEJ INTELIGENCJI

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik".
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1 Telefony redakcji — 841 24 Centrala 832-91
Prenumerata POPROSTU miesięcznie — zł 1,40, kwartalnie — 4.20 półrocznie — 8.40, rocznie — 16.80
Administracja: RSW „Prasa", III Delegatura Warszawa, ul. Marszałkowska 8 tel 807-11
Drukarnia: RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5
Zam. nr 844. B-6-870.

Zdjęcie konkursowe nr 3

Zdjęcie konkursowe nr 4

Zdjęcie konkursowe nr 5

Dziś zamieszczamy dalsze zdjęcia nadesłane na ogłoszony w 15-tym numerze POPROSTU

Konkurs na najładniejszy uśmiech studentki

Zachowaj ten numer, bowiem po opublikowaniu nadesłanych zdjęć w czerwcu br. POPROSTU przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który uśmiech najbardziej Ci się podobał (udział w plebiscycie będzie również szansą do zdobycia nagrody).

Przypominamy: zdjęcia uśmiechniętych studentek nadsyłają same studentki oraz ich najbliżsi — w kwietniu i maju br. Koleżankom, które czytelnicy uznają za najładniej uśmiechające się — zostaną przyznane liczne i cenne nagrody; wykaz ich ogłosiliśmy w 15-tym numerze. Nazwiska opublikujemy tylko za zgodą laureatek.

O segregacji szkolnej w USA

Imperializm przeciw rasizmowi?

Dostałem list. Pozwólcie, że przytoczę z niego pewne zdania.

„Papierkiem lakmusowym demokracji amerykańskiej nazwano kiedyś — i słusznie — sprawę położenia ludności murzyńskiej. Przez długie lata papierek ten niezmiennie wykazywał pozorność zaoceanicznej demokracji. O tym piszecie stale. Czemu jednak nie piszecie o tym, jak zmienia się obecnie ta sprawa? Czemu nie napiszecie chociażby o tym, jak w zeszłym roku zniesiono dyskryminację rasową w szkołach amerykańskich? Powtarzanie w tych warunkach starych sformułowań traci przecież sens".

Tyle autor listu.

*

Niedawno wpadło mi w ręce powielane wydawnictwo Służby Informacyjnej Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie zatytułowane „Amerykanie pochodzenia murzyńskiego: dokonująca postępu grupa" („Americans of Negro Descent: An Advancing Group"). Czytamy tam m. in.:

„W rzeczywistości Murzyni są obecnie aktywnymi uczestnikami życia amerykańskiego we wszystkich jego fazach. Dokonali oni wielkiego postępu w dziedzinie wykształcenia. Utrwalili swą pozycję w interesach, przemyśle i wolnych zawodach... W ciągu 80 lat wolności od niewolnictwa dokonali zdecydowanego postępu ku kulturalnej, społecznej i ekonomicznej równości jako obywatele Stanów Zjednoczonych" (str. 9).

Ostatnio — zwłaszcza w 1954 roku — prasa i radio amerykańskie z zapałem dowodzą, iż rząd USA przeprowadza reformy likwidujące dyskryminację Murzynów. Niedwuznacznie też wskazuje się, że z faktu tego należy wyciągnąć wniosek o niesłuszności naszej propagandy podejmującej niejednokrotnie te tematy.

Zestawmy więc te wyznania z rzeczywistością. Będzie to zarazem próba dania odpowiedzi na wątpliwości wyrażone w liście.

*

W maju ubiegłego roku prasa amerykańska przyniosła rewelacyjną wiadomość. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych jednomyślnie uznał segregację rasową w szkołach za sprzeczną z konstytucją. Orzeczenie takie winno pociągnąć za sobą natychmiastowe zaprzestanie zakazanych praktyk.

Chodziło bynajmniej nie o drobną sprawę. Siedemnaście stanów USA — głównie tych, gdzie jest najwięcej Murzynów — posiadało ustawy zabraniające istnienia wspólnych szkół dla murzyńskich i białych dzieci. Łatwo też zauważyć, że szkoły murzyńskie były z reguły gorzej zaopatrzone, miały mniej nauczycieli i stwarzały dzieciom znacznie mniej korzystne warunki. Przede wszystkim zaś system szkół opartych na zasadzie segregacji rasowej powodował, że od najmłodszych lat dzieci wychowywane były w duchu rasistowskim. O to zaś rasistom chodziło.

Orzeczenie Sądu Najwyższego zakazujące segregacji w szkołach publicznych było wynikiem wytężonej walki, prowadzonej zwłaszcza od 1951 roku, tj. od chwili, gdy sprawę dyskryminacji rasowej w szkolnictwie skierowano do sądów. W walce brały udział liczne postępowe organizacje murzyńskie i nie-murzyńskie.

Czemu jednak reakcyjny Sąd Najwyższy — znany ze swych antydemokratycznych orzeczeń — w tym wypadku ustąpił? Sprawa nie tłumaczy się jedynie walką mas. Niemałą rolę odegrało też dążenie kół kierujących polityką amerykańską, by uchodzić w oczach własnej i zwłaszcza zagranicznej opinii publicznej za przeciwników rasizmu. Stąd gesty w kierunku odżegnywania się od dyskryminacji rasowej.

Że szło tu właśnie o niezbyt kosztowne gesty, pokazały wydarzenia, które rozwinęły się po orzeczeniu Sądu Najwyższego. Oddajmy głos prasie amerykańskiej.

New York Herald Tribune — 17 maja 1954 r.:

Gubernator stanu Georgia Herman Talmadge oświadczył:

„Decyzja sądu zredukowała naszą konstytucję do zwykłego świstka papieru... Wszyscy obywatele Georgii winni zachować spokój i wstrzymać się od okazywania jakiegokolwiek strachu i histerii".

Skąd ta pewność siebie? Dalsze depesze prasowe wyjaśniają źródła spokoju pana gubernatora. Czytajmy.

New York Times — 19 maja 1954:

„Generalny prokurator stanu Georgia Eugene Cook zapowiedział bojkot decyzji Sądu Najwyższego. Gubernator Talmadge wyraził solidarność z tym stanowiskiem. Przypomniał on, że w 1830 roku prezydent Andrew Jackson nie mógł wyegzekwować poszanowania dla pewnej decyzji Sądu Najwyższego, przeciw której oponował ówczesny gubernator Georgii Troup".

New York Herald Tribune — 15 września 1954:

„D. H. Harrah, superintendent szkolny powiatu Greenbrier w Zachodniej Wirginii przywrócił segregację szkolną. Nastąpiło to po demonstracji kilkuset osób niosących napisy: „Murzyni nie są pożądani w naszych szkołach".

New York Herald Tribune — 15 września 1954:

„Senat stanu Missisipi przyjął większością 42 głosów przeciw 2 poprawkę do konstytucji stanowej zezwalającą na zakazanie publicznego nauczania. Ma to stanowić środek zapobiegający przestrzeganiu uchwały Sądu Najwyższego" (gdyż uchwała ta dotyczy jedynie szkół publicznych — JW).

New York Herald Tribune — 20 września 1954:

W dystrykcie Kolumbia zrealizowano zniesienie segregacji szkolnej.

New York Herald Tribune — 19 stycznia 1955:

„Nowoobrany gubernator stanu Południowa Karolina, George Bell Timmerman wezwał Kongres do ograniczenia władzy Sądu Najwyższego. Zapowiedział on, iż będzie walczył o utrzymanie segregacji szkolnej".

„Kongres — oświadczył gubernator Timmerman — posiada według konstytucji prawo przywrócenia stanom ich zgodnych z prawem i konstytucją uprawnień łącznie z prawem regulowania spraw ich własnych szkół".

New York Herald Tribune — 8 lutego 1955:

„Zniesienie segregacji zrealizowane zostało w stanach pogranicznych, natomiast na głębokim Południu (tj. tam, gdzie mieszka największa część ludności murzyńskiej — JW) napotyka ono na trudności. Zniesienie segregacji — pisze autor artykułu — wymaga „zdecydowania i ciężkiej pracy".

*

W ciągu ośmiu miesięcy dokonał się zwrot: od entuzjastycznego reklamowania decyzji sądu prasa burżuazyjna przeszła chyłkiem do zalecania cierpliwości w oczekiwaniu na jej realizację. Obecnie stan rzeczy przedstawia się mniej więcej następująco: w części stanów — głównie tych, gdzie jest niezbyt wielu Murzynów — doprowadzono do powstania szkół mieszanych. M. in. zrealizowano decyzję Sądu w dystrykcie Kolumbia rządzonym bezpośrednio przez rząd federalny.

Natomiast w siedmiu stanach południowych (Georgia, Missisipi, Południowa Karolina, Północna Karolina, Tennesee, Alabama, Louisiana) oraz w wielu miejscowościach w innych stanach istnieją nadal szkoły „tylko dla białych" i „tylko dla Murzynów". Osiągnięto to różnymi metodami. Cztery stany (Louisiana, Georgia, Południowa Karolina i Missisipi) uchwaliły poprawki do konstytucji stanowych zezwalające władzom stanowym zlikwidować szkoły publiczne w wypadku, gdyby Murzyni domagali się przyjęcia do szkół „dla białych". Obok tej „legalnej" drogi działania uruchomiono terror typu wyczynów kuklux-klanowskich, zagrożono Murzynom prześladowaniami. W szkołach miasta Milford (stan Delaware) musiano przywrócić faktycznie segregację rasową, gdyż bojówki rasistowskiej organizacji NAAWP („Narodowe Stowarzyszenie Postępu Białego Ludu") sparaliżowały zupełnie szkolnictwo tego miasta. Podobnie dzieje się w wielu miejscowościach. Rasiści wzmogli zarazem terror w innych dziedzinach. Ostatnio skazano na 15 lat więzienia działacza postępowego Carla Bradena, którego zbrodnia polegała na tym, że pośredniczył przy kupieniu domu w dzielnicy „dla białych" i osiedleniu się tam murzyńskiej rodziny Wade'ów. W 24 godziny po wprowadzeniu się rodziny murzyńskiej do nowego mieszkania bojówka faszystowska rozpoczęła zamieszki (m. in. podłożono bombę pod dom). Epilogiem sprawy było skazanie Bradena za naruszenie praw o segregacji rasowej. Fakt ten lepiej świadczy o rzeczywistych zamiarach kół rządzących USA w stosunku do ludności murzyńskiej niż wszystkie słodkie deklaracje prezydenta.

Koła rządzące Stanów Zjednoczonych nader chętnie przybierają pozę rzekomych „obrońców" ludu murzyńskiego. Tak np. w związku z zakazem segregacji rasowej w szkołach publicznych prezydent Eisenhower zaapelował o poszanowanie tej decyzji. Często też usiłuje się sprawę przedstawić w ten sposób, jakoby rząd USA był przeciwnikiem dyskryminacji rasowej, a całą winę ponosiły władze lokalne.

Jest to jednak fałsz.

W rzeczywistości rząd USA toleruje dyskryminację rasową (np. nie zdarza się, by zastosowano sankcje karne wobec rasistów, którzy uniemożliwiają Murzynom Południa branie udziału w wyborach). Najlepiej zaś o rzeczywistych intencjach rządu USA świadczy to, iż pod jego bezpośrednim nadzorem — w armii podległej władzom centralnym dopuszcza się do legalnego linczowania w 1954 r. po oszukańczym procesie dwóch żołnierzy murzyńskich: H. P. Deninsa R. W. Bunnsa. Prezydent Eisenhower nie skorzystał z przysługującego mu prawa łaski. Obciąża go odpowiedzialność za ten wyczyn rasistów, podobnie jak ciąży na nim zbrodnia popełniona na Rosenbergach.

Mimo manewrów i oszukańczych wybiegów — polityka władz USA to polityka rasistowska. Antyludzki sens tej polityki staje się coraz bardziej jasny również dla narodu amerykańskiego.

JERZY WIATR

„Kto nie wejdzie do tygrysiej jamy"

(Dokończenie ze str. 5)

skromny felieton pragnę dedykować tym wszystkim anomaliom, z którymi miałem okazję się zetknąć. Być może niejeden tegoroczny maturzysta szukający łatwego powodzenia i intratnego zajęcia jeszcze raz się zastanowi czy rzeczywiście jest chory na teatr. Lepiej się zastanowić niż rozczarować.

Gdzie szukać przyczyn tych bardzo niepokojących objawów? Jest ich chyba wielka ilość i trudno je wszystkie ogarnąć. Źle jest chyba z kulturą teatru w szkołach średnich. Sam byłem w tym szczęśliwym położeniu, że miałem w gimnazjum polonistę, który przy całym eklektyzmie podawanej nam wiedzy umiał nas rozkochać w książkach i teatrze. W małej klasie, na tle narysowanych na tablicy kolumn „graliśmy" na lekcji polskiego „Antygonę", „Noc listopadową". Osobliwy to był zapewne teatr, gdzie Antygona był wyższy o dobre dwie głowy od Hajmona — lecz nikt w klasie tego nie dostrzegał, a oni byli naprawdę Hajmonem i Antygoną.

Trudno mi powiedzieć ilu jest takich polonistów i czy każdy potrafi rozmiłować swych uczniów w poezji. Chyba jednak nie jest z tym „teatralnictwem" tak radośnie. Na zdrowie by chyba wyszło i teatrowi i całemu społeczeństwu, gdyby programy nauczania literatury w szkołach średnich szerzej uwzględniały literaturę dramatyczną, może recytację i inne zagadnienia związane z teatrem.

Innym problemem, znacznie trudniejszym, jest brak w naszym społeczeństwie rzetelnego zainteresowania aktorem. Co rozumiem pod tym pojęciem, wyjaśniać — sądzę — nie potrzeba. Sprawa nie jest prosta i nie można obrażać społeczeństwa czyniąc mu z tego zarzut.

Nasz nowy widz odepchnięty od teatru w okresie przedwojennym barierą społeczną jest głodny: poezji, wielkiego szlachetnego melodramatu, głodny samego siebie na scenie. Dlatego jeszcze dziś chłonie przede wszystkim słowo, sztukę, perypetie bohaterów. Kiedy nasyci się literaturą przyjdzie czas i na dalszy etap: ciekawości pracy aktorskiej, jej mechanizmu, stylów teatru i tego wszystkiego co kryje się pod słowem — Teatr. Tylko malkontenctwo i brak wiary w wielkość naszej rewolucji kulturalnej mogą dyktować słowa niewiary.

Trzeba jednak powiedzieć, że nasza prasa i radio za mało mu w tym pomagają — vide entuzjastka „Intrygi i miłości". A kto, jak nie te potężne organa masowego oddziaływania są do tego najbardziej powołane? To chyba są istotne przyczyny i na pewno grają dużą rolę w tym dziewiczym stosunku młodzieży do teatru.

Dużo pisano o apatyczności najmłodszego pokolenia: tych 17, 18-latków. W okresie II Zjazdu ZMP sporo dostało się instancjom organizacji i całemu ZMP za zurzędniczenie młodzieży. Chyba słusznie.

Ale nie przesadzajmy! Winna jest przede wszystkim sama młodzież. Dlaczego pozwoliliśmy się zurzędniczyć? Jakież to istotne powody kazały nam czekać, aż wiedza sama przyjdzie do nas, kiedy należało o nią walczyć, zachłystywać się jej powiewem. Przywykliśmy trochę do myśli, że Władza Ludowa to taki dobry wujaszek, co to i stypendia da i książki tanio wydrukuje i o posadę się zatroszczy. A co wielu z nas daje jej w zamian: przymilny uśmiech pełnej oddania bajadery!

Z ogromną satysfakcją i wdzięcznością przeczytałem felieton Jerzego Andrzejewskiego. „Co za bezsiła i brak inicjatywy tkwi w młodym człowieku, skoro domaga się on spisu książek, które warto przeczytać! Sam się pomęcz, a będziesz sobie wdzięczny, przewertuj wiele ksiąg zanim Julian Sorel stanie się twoim przyjacielem, a Słowacki członkiem rodziny. Ten „przedsmak mięsa" — to jest dopiero satysfakcja".

Opowiadał mi kolega, jak to w gimnazjum dostał na półrocze dwóję z matematyki, bo był niewyspany na klasówce i pisał jakieś zawrotne bzdury. Pogrzebał go Lucjan Leuwen i Matylda de Chasteller. Inny mój przyjaciel — obecnie młody aktor — nie musiał mieszkać w Warszwie, aby na egzaminie do Szkoły Aktorskiej sypać nazwiskami aktorów i ich rolami, jak z rękawa. A wierszy umiał na pamięć ponad dwadzieścia. Jeszcze inny — młody dziennikarz — przechowuje do dziś pierwszy numer „Życia Warszawy" — „codziennego pisma dla wszystkich sfer" (taki był wówczas podtytuł). Dlaczego go zachował? Bo lubi gazety!

Oni czuli „przedsmak mięsa"! Czy potrzeba mówić, jak potrzebna jest ta pasja ludziom, którzy pragną pracować w teatrze. I trzeba wiedzieć, że Bogusławski był „ojcem teatru polskiego" — trzeba żyć teatrem, mieć go w sobie i pieścić, jak najpiękniejsze marzenia o pierwszym kochaniu — i jak w miłości trzeba na wzajemność zasłużyć.

Jest stare chińskie przysłowie: „Kto nie wejdzie do tygrysiej jamy, ten nie schwyci tygrysiego syna".

JERZY WOROWIECKI

WIOSENNY KONKURS „POPROSTU"

Co będą studiować?

Zainicjowana przez POPROSTU przedfestiwalowa „Wiosna Żakowskich Igraszek" przyjęta została z entuzjazmem również przez maturzystów, kandydatów na wyższe studia. Oto obrazek z przedfestiwalowego festynu zorganizowanego przez jedną ze szkół średnich. Nie wątpimy, że co razu poznacie znajdujących się w rozbawionej ciżbie kandydatów na uczelnie.

Zadanie polega na wymienieniu kierunków studiów, którym chcą się poświęcić kandydaci uchwyceni przez naszego rysownika. Na zamieszczonym obok kuponie należy pod odpowiednimi numerami wpisać nazwy poszczególnych kierunków specjalizacyjnych (np. filologia polska, fizyka itp.).

Udział w konkursie mogą wziąć nie tylko maturzyści, ale również wszyscy stali czytelnicy POPROSTU. Czytelnicy, dla których nie wystarczy kuponów mogą je wyciąć z jednego z dwóch następnych numerów pisma. Termin nadsyłania kuponów z odpowiedziami upływa z dniem 15 maja rb. Koperty z rozwiązaniami adresujcie: Redakcja POPROSTU, Warszawa 18, ul. Wiejska 17 (z dopiskiem: „Konkurs wiosenny").

A oto spis cennych nagród przeznaczonych dla zwycięzców naszego konkursu:

1. Radioodbiornik
2. Patefon z kompletem płyt
3 Teczka skórzana
4 Dobre wieczne pióro
oraz 40 nagród książkowych

Kupon konkursu „Co będą studiować"

1. . . . . .
2. . . . . .
3. . . . . .
4. . . . . .
5. . . . . .
6. . . . . .
7. . . . . .
8. . . . . .
9. . . . . .
10. . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .

Dokładny adres . . . . . .

. . . . . .

Szkoła i klasa względnie uczelnia i rok studiów. .

. . . . . .

Spróbuj swych sił

STEFAN DZIEDZIC — wiadomo — kilkakrotny akademicki mistrz świata w narciarstwie!

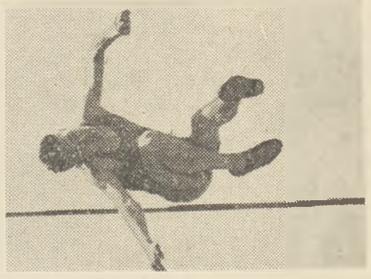

Niejednokrotnie podziwialiśmy klasyczne skoki z trampoliny Haliny Chrząszczówny, „drżeliśmy" o poprzeczkę powyżej 1.90 przy pięknych skokach Kazimierza Fabrykowskiego.

TEODOR KOCERKA—zasłużony mistrz sportu, jeden z najlepszych wioślarzy świata, zdobywca brązowego medalu w jedynkach na XV Igrzyskach Olimpijskich — wicemistrz Europy.

Dzielimy ogólną sympatię widzów do doskonałej sprinterki Barbary Lerczak, czy pięciokrotnego akademickiego mistrza Polski w rzucie kulą Włodzimierza Sokołowskiego.

Zawodnicy z białozielonym emblematem AZS-u odnoszą triumfy na bieżniach i ringach, na szermierczych planszach, na boiskach piłki siatkowej i kosza, w wioślarstwie i pływaniu. AZS zajmuje w wielu dyscyplinach sportu czołową pozycję. Coroczne letnie i zimowe akademickie mistrzostwa Polski reprezentują wysoki poziom sportowy i cieszą się wielką popularnością wśród miłośników sportu. Różnorodność sekcji w poszczególnych kołach AZS przy każdej wyższej uczelni pozwala studentom, zarówno zaawansowanym „wyczynowcom" jak i zupełnym laikom, znaleźć w tym Zrzeszeniu warunki do pracy i rozwoju w dowolnie obranej dziedzinie sportu.

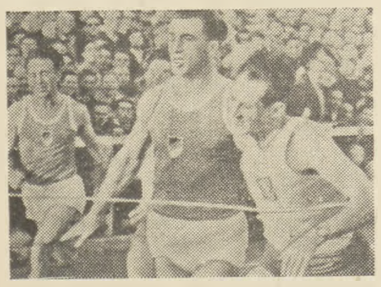

Dobrze znamy zasłużonego mistrza sportu akademickiego, mistrza świata w biegu na 200 m — ZDOBYSŁAWA STAWCZYKA (na zdjęciu pierwszy z prawej).

KOLEGO! KOLEŻANKO! Wstępując na wyższą uczelnię pamiętaj! Może drzemie w Tobie nowy Dziedzic, Kocerka, czy Lerczakówna?

Spróbuj swych sił w szeregach AZS!

WŁODZIMIERZ STRZYŻEWSKI

(Ostatni odcinek wspomnień)

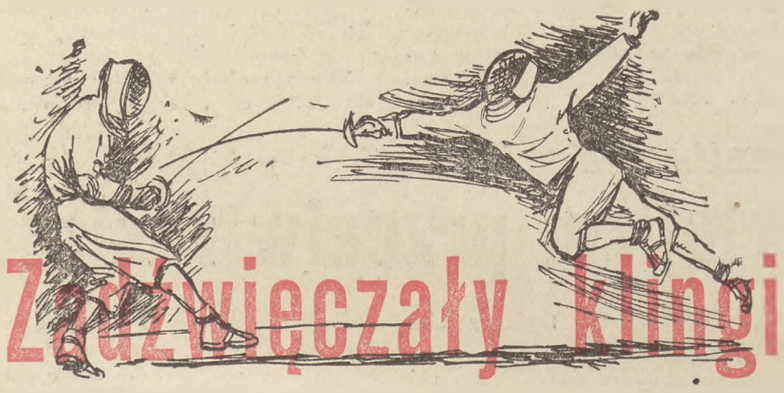

Zadźwięczały klingi

Sobota 5 marca

I znów w „Institut des Arts". Tym razem jako widz. Za pół godziny rozpoczną się walki we florecie kobiet. Po wczorajszej porażce — ton prasy belgijskiej zmienił się zasadniczo. Zamiast buńczucznych przepowiedni czytamy dziś: „Czy wygramy floret kobiet?". Co prawda my uważamy, że Belgijki zwyciężą. Ale oto zapełnia się sala, prezentacja zawodniczek, wymiana pamiątkowych plakietek — i bukietów kwiatów.

Jeszcze jeden sukces! 9:7! Nasze florecistki pokonują czwartą drużynę świata! Poza Elą Mnichówną wszystkie wygrały po trzy walki. Gratulujemy im serdecznie. Krótka przerwa — i mecz szablowy. O godz. 21.44 Zabłocki fintowanym atakiem zadaje Alexandrowi piąte trafienie uzyskując dla Polski pierwsze zwycięstwo i prowadzenie 1:0 w meczu. Szablę — tak jak szpadę — wygrywamy 11:5. Mecz z Belgią wygrywamy zatem 4:0! Takiego sukcesu nie przewidywał nikt. Długo jeszcze po powrocie do hotelu dajemy upust swej radości.

Niedziela 6 marca.

Wyszliśmy na przedpołudniowy spacer. Ruch kołowy jest nieco mniejszy, ale mimo to wciąż płynie ulicą podwójny wąż limuzyn, motorowerów (na których jeżdżą przeważnie kobiety) skuterów i trójkołowych motocykli. Środkiem jezdni suną tramwaje o opływowych kształtach. Konia nie widziałem, ani tu ani w Gandawie.

Chodnikiem spacerują poważnie starsi panowie w czarnych kapeluszach, panie w futrach, otoczone roześmianymi dziećmi, pary narzeczeńskie całujące się — co nie zwraca niczyjej uwagi — na ulicy. Różnobarwne fasady domów, barwny korowód przechodniów, blask limuzyn i przepych wystawowych okien — oto Bruksela.

Czyż tak? A przecież wystarczy z Place Charles Roger przejść Rue des Groisades — by znaleźć się w innym świecie! Nie ma tu już asfaltu, z jezdni sterczą nieregularne kamienie, chodniki są wąskie.

W szarych ścianach — niskie okna różnych „Taverne..." teraz ciemne, nocą — oświetlone neonowym znakiem zapytania. Nie słychać wesołego gwaru: oprócz kroków przechodnia — jedynym dźwiękiem jaki tu słychać jest wabiące „klientów" stukanie w szybę półnagich, przesadnie wymalowanych prostytutek, siedzących w owych „Taverne". Zza szyb po obu stronach ulicy wyglądają twarze młode i stare, brzydkie i ładne, smutne i wyzywająco uśmiechnięte.

Wychodzę znów na bardziej ożywione ulice i wąskimi, krętymi „Straat" i „Rue" pnę się do celu — na Place Poelaert. Rozległa perspektywa placu — i wspaniały fronton Palais de Justice. Monumentalny gmach z olbrzymią złotą kopułą czyni niezatarte wrażenie. Obszedłszy go wokół — podziwiam jeszcze Pomnik Piechura z napisem „A la gloire de l'infanterie Belge 1914 — 1918" i wsparty o balustradę obserwuję panoramę Brukseli. Z Place Poelaert jak z lotu ptaka widać całą północno - zachodnią część miasta. Pod sam horyzont — tysiące, tysiące przeróżnych dachów, otulone siną mgłą kominy fabryk i wieże kościołów, a hen w dali grzebienie lasów.

Czas już wracać. Tym razem inną drogą. Niebo ciemnieje. Słońce znika za chmurami i — doprawdy: zaczyna padać prawdziwy śnieg! Od razu czuję się jak w domu! Ale niestety. Śnieg topnieje za chwilę i tylko bardziej niż przedtem lśni asfalt ulic.

Dobrze, że mieliśmy okazję być tu prawie dwa tygodnie. Nikt z nas nie patrzy już na ten kraj przez pryzmat zegarka za 200 franków. Dziś widzimy lepiej: 9 milionów mieszkańców — i wyzysk Murzynów w olbrzymim Kongo. Najwyższa stopa życiowa w Europie — i 300.000 bezrobotnych. Prostytucja, albo głodowa śmierć. Kobieta za 200 franków i podręcznik szkolny za 300 franków, a 25 franków za gazetę.

Środa 9 marca 1955

Warszawa! W tym samym pokoju odpraw celnych — gdzie dwa tygodnie temu tyle godzin czekaliśmy na pogodę dogodną do lotu — czekamy teraz na odprawę. Co chwila ktoś wychodzi, otrzymując paszport i bagaże. Wreszcie — ja. Kontrola jest bardzo krótka. Wychodzimy — i autobusem jedziemy do hotelu „Warszawa". Na Placu Zawiszy — zatrzymuję wóz — i pożegnawszy kolegów — idę na dworzec. O 12,10 mam pociąg do Sochaczewa.

A za dwa dni — turniej Kadry Narodowej w Stalinogrodzie! Zmęczenie turniejem w Gandawie, meczem z Belgią i podróżą oraz czekającą nas jazdą do Stalinogrodu — to właśnie owe trudne warunki, z których tak cieszy się Janos Kavey. „Łatwiej wam będzie na mistrzostwach świata". Szybko do domu! Wykąpać się, wyspać, wziąć nową broń — i w drogę.

Za dwa dni — znów zadźwięczą klingi!

Dusza utęskniona

Nie, co to to nie. Znacie mnie nie od dziś i powinniście wiedzieć, że wszystko zrobię, rękę dam sobie uciąć, a nie dopuszczę do tego, żeby nasze dziecko miało się zmarnować. Po to karmiłam go pomarańczami i ananasami, po to obnosiłam go na własnych, ciotczynych rękach jak rodzone dziecko, żeby dziś położyć krzyżyk na jego przyszłość? Gryzipiórkiem lub belfrem w Pipidówce ma zostać? Chyba po to wymyśliłi tę tam jakąś pola... poli... no, jak jej tam Józiu? — polonistykę, żebym ja, jego ciocia wypłakała do reszty oczy, że nasze dziecko w łachmanach chodzi? Widziałam przed wojną takich nauczycieli. A teraz to niby jest lepiej? Niech mnie Bóg ukarze, jeśli tak będzie... chyba bym się resztek sumienia wyzbyła. To co, że Józio ma zainteresowania? Że lubi literaturę? A kto, pytam się, mówi, że nie będzie mógł w wolnych chwilach poczytać Kursmalerki, Wallaca lub innych wielkich pisarzy? Sama mu przyniosę!

Co innego medycyna! Pięć latek przeleci jak z bata strzelił, aż tu, moi drodzy, na drzwiach pojawia się tabliczka: „Dr med. Józef Pypeć"... No i co? Ta wydra z sąsiedztwa dostanie apopleksji, czy nie? A ludzie będą mówić: ho, ho... wyszedł ten Pypeć na ludzi... p a n d o k t o r... A ty co? Tobie rośnie serce i pierś faluje z radości, aż staniki pękają! A nasz Józio siedzi sobie za biurkiem w białym fartuchu (sama mu go będę prać) i mówi: „proszę następny!" — a forsa z szelestem opada na dno biurka... A daj Boże, zmienią się czasy, to co wtedy? Gryzipiórków i bakałarzy na zbity pysk, a pan doktor, to pan doktor. Taki zawsze jest w uważaniu. Józio pójdzie na doktora i basta! Chyba bym się resztek sumienia wyzbyła..."

Ciocia nie wyzbyła się resztek sumienia, a Józio Pypeć pomyślał sobie, że jakoś tam będzie. Nie można martwić takiej dobrej cioci. Tym bardziej, że na medycynie opowiadają pieprzne kawały, a w książkach jest dużo rozmaitych obrazków. A kto wie, może i w naturze?... Ciotka ma właściwie rację. Literaturę można zawsze czytać. Na szczęście nie będzie chemii (tak mówi ciocia, a ona ma zawsze rację), bo co ma chemia do wypisywania recept? Tyle chyba, co piernik do wiatraka...

Więc złożył podanie, zdał egzaminy i dostał się na medycynę.

*

— Czego oni ode mnie chcą? — pytał doprowadzony do rozpaczy Józio... Przecież się uczę, egzaminy jako tako zdaję... Że się do medycymy nie palę? — Po co się zaraz palić... Bo też i nie ma do czego. Czy do tej chemii, którą nienawidziłem przez całe życie (ciocia się omyliła), do tej fizyki, której nie pojmuję? — Mówisz, przedmioty zawodowe? Może osteologia? — Koncertowo na nią gwiżdżę. Nie rozumiem, w jakim celu trzeba się tego wszystkiego uczyć na pamięć... os temporale... os fenoidale... os cocygeum... os femoris... siedzę i kuję niczym kowal! A tu, jak na złość przychodzą na pamięć znajome wersety...

Tymczasem przenoś moją duszę utęskniona,
Do tych ragórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych...

Dusza moja do tych ksiąg się przenosi, a wraca dopiero na posiedzeniu Komisji Dyscyplinarnej... Albo ta histologia... nauka o tkankach! Po co mi to? — Dla mnie, z najpiękniejszych tkanek składa się „Pan Tadeusz". A co mnie obchodzi, z jakich części składa się moja ciocia? — to zajęcie dla wuja a nie dla mnie...

— Więc dlaczego nie poszedłeś na polonistykę? — zapytałem.

— Co?! — Ja na polonistykę? Zwariowałeś chyba! I czym byłbym po skończeniu tej polonistyki? — Belfrem w Pipidówce za marne grosze? — Dziękuję. Może gryzipiórkiem w redakcji? — Mam czas zdychać z głodu. A jak się czasy... e e... tego... przepraszam... w ogóle, nie ma to jak zawód lekarza. A literaturę można zawsze poczytać. Właśnie czytam ostatnio na wykładach „Podróż Sentymentalną" Sterna. To świetna książka...

A studia zawodowe? — oblewa się egzaminy z dnia na dzień, a do dyplomu coraz dalej... zamiast coraz bliżej...

ROMUALD KŁOSIEWICZ

...NA STUDIA

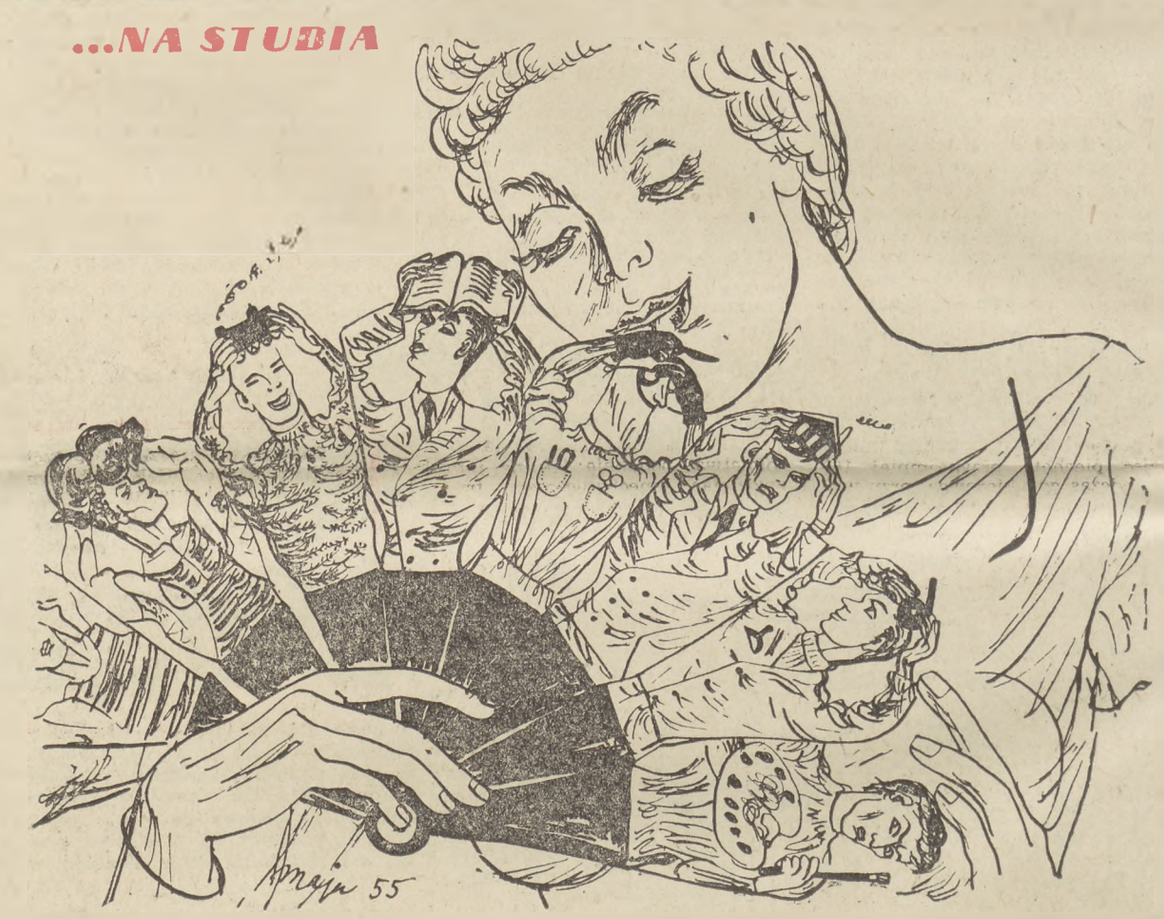

Wachlarz zainteresowań

Rys. Maja Berezowska

Trudny wybór

Po uroczystym zakończeniu roku szkolnego, Jelonek szczęśliwy i zadowolony z siebie pojechał na wieś do rodziny. Przyjęcie jakie mu zgotowano przeszło najśmielsze oczekiwania. Cała wieś się zbiegła oglądać dyplom przodownika nauki, a podziw ludzi wzrósł jeszcze, gdy się dowiedzieli, że chłopiec zamierza zostać studentem.

Jelonek zaczął się zastanawiać nad wyborem kierunku studiów. Nie przyszło mu to jednak tak łatwo jak się spodziewał. Myślał, myślał i nic jakoś nie mógł wymyślić. Będąc małym chłopcem miał zamiłowanie do rolnictwa, ale teraz po tylu latach nauki w mieście nie powracał do tamtych marzeń.

Zwierzył się wreszcie ze swych kłopotów rodzinie. Babcia doradziła mu.

— Zostań synku doktorem. Tak mnie coś bodzie w środku, tak bodzie, czuję że ty byś mnie z tego wyleczył.

Jelonek widział się już lekarzem, a pierwszym sukcesem jego kariery miało być wyleczenie babci z owego bodzenia. Jednak na drugi dzień miał wątpliwości, tym bardziej że sąsiad chuligan, który popadał w częste kolizje z prawem powiedział:

— Śmierć frajerom, bądź lepiej adwokatem. Praca lekka, gadaniem można dużo zarobić.

Marzył więc Jelonek o todze, a we śnie wygłaszał wspaniałe mowy sądowe.

W tym czasie postanowiono we wsi zbudować szkołę. Ponieważ władze powiatowe od paru lat zwlekały z planami ludzie radzili chłopcu.

— Idź na architekturę, na pewno prędzej zbudujesz nam szkołę niż ci z powiatu.

Jelonek nie mógł się jednak zdecydować. Matka chciała żeby został inżynierem, ojciec — dentystą, wujek — aptekarzem, ciotka — profesorem, dziadek — weterynarzem, stryjek — chemikiem, stryjenka — fizykiem, siostra — geologiem, szwagier — aktorem, szwagierka — leśnikiem.

Sąsiedzi doradzali dwadzieścia innych zawodów, wreszcie chłopiec stracił głowę. Niczym Hamlet bił się z myślami, aż w desperacji wypisał kilkanaście zawodów i włożył kartki pod poduszkę. Nazajutrz rano wyciągnął kartkę z napisem: prokurator. Wzdrygnął się lekko, bo nigdy mu przez myśl nie przeszło poświęcić się temu zawodowi i w dalszym ciągu nic nie zdecydował.

Kiedyś będąc na spacerze zaczął się zastanawiać w jakiej dziedzinie jest najwięcej do zrobienia. I nagle doznał olśnienia.

— Mam — wykrzyknął. — Wybrałem sobie zawód — mówił pospiesznie wracając do domu.

Wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła wioskę. Wieczorem, prosto z pola zeszli się ludzie ciekawi czym też zostanie młody Jelonek.

— Będę inżynierem rolnictwa — ogłosił triumfalnie uczeń.

Ludzie patrzyli na siebie ze zdumieniem mówiąc:

— Że też nam to wcześniej na myśl nie przyszło.

FELIKS DERECKI

RYSZARD KRAŚKO

Dzięcioł w muzycznej szkole

Chcąc zadość uczynić lirycznym swym chęciom
Do szkoły muzycznej zapisał się Dzięcioł.
„Dość tego — powiedział — dłubania się w korze
Pokażę, że śpiewać też umiem nie gorzej
I jeszcze Słowika przyprawię o wstyd
Z tym jego obmierzłym pitpit — pitpilit".
Zaczęto ćwierkanie do gamy C-dur.
Prowadził ob. Słowik, studentów zaś chór
Wtórował mu w pieśni tak biegle jak mógł.
A Dzięcioł? Ten stukał: stuk-puk i puk-stuk.
„Dzięciole — rzekł Słowik — pan śpiewa to źle,
Tu „do" nie „stuk" być ma, nie „puk" ale „re",
Tych fałszów nie mogę policzyć na plus ja
To solfeż, kolego, solfeż nie perkusja".
To rzekłszy profesor zagłębił dziób w nutach.
Znów wszyscy śpiewali, a Dzięcioł znów stukał.
Mijały miesiące. Już wszyscy studenci
Całego Moniuszkę śpiewali z pamięci,
Już Sowa, już Puchacz ba, Wrona i Kruk
Śpiewali. A Dzięcioł? Wciąż w kółko: stuk-puk.
Z bajeczki tej morał bezsporny wynika.
Nie można dzięcioła przerobić w słowika.

Poczta „Pokrzyw"

KOL. JADWIGA PSZCZUŁKA, RADOM.

Droga i z pewnością miła Koleżanko!

Naprawdę nie widzę powodu do zmartwień. Wybieracie się na studia dziennikarskie i piszecie zmartwiona tak: „Styl muj okropny i mam i straszliwy, błędy do tego ortograficzne często zdażają mi się. Kto to Naukowska, Dąbrowska, Petlakowski i bracia Tolstojowie nie wiem. Czytać nie znoszę i pisać nie wiem czy potrafię".

No i cóż. Po co się zadręczać. Chcecie zostać dziennikarką, a może nawet literatką — zostaniecie nią — tylko głowa do góry i najważniejsze nie zrażać się trudnościami.

Oczywiście jak zdążyłem zauważyć z listu macie zdolności raczej matematyczno-przyrodnicze i studia w tym kierunku nie nastręczyłyby Wam żadnych trudności, ale przecież Wy jesteście zetempówką i uczono Was, że po to są trudności by je łamać. Dlatego wybranie innego kierunku studiów niż dziennikarstwo byłoby z Waszej strony ucieczką przed trudnościami, a tego Wam zrobić nie wolno.

Brak Wam lekkości stylu, tudzież znajomości zasad ortograficznych ale z tego powodu nie należy załamywać rąk. Pamiętajcie o tym, że w redakcjach każdy materiał przepisywany jest na maszynie i maszynistka zazwyczaj poprawia błędy stylistyczne i ortograficzne. Piszecie, że nie znacie Petlakowskiego, Dąbrowskiej i innych pisarzy. A czy oni Was znają? Na pewno nie i co gorsza wcale się tym nie martwią. Dlaczego więc tylko Wy macie sobie robić z tego powodu wyrzuty?

Sądzę, że moje argumenty przekonały Was. Ściskam Waszą publicystyczną dłoń, życzę powodzenia w walce z 15 tysiącami kandydatów na studia dziennikarskie.

JUREK

KOL. DOBROSŁAW KUŹNIAK, JELENIA GÓRA.

Drogi i zapewne przystojny kolego!

Piszecie — „Nie mam wyobraźni przestrzennej, brak mi zdolności matematycznych, pamięci historycznej, pod względem rysunków jestem kompletna noga. Czy takie kwalifikacje uprawniają mnie do pójścia na architekturę? Strasznie się tym dręczę".

Po co się dręczyć? Trzeba porzucić niepokoje i iść za głosem, który Was woła na architekturę. Piszecie przecież, że stryjek Wasz jest zupełnie niezłym architektem i nie brak mu zdolności, których Wy w sobie nie odczuwacie. Kolego, jeśli ich nie odczuwacie, to jeszcze nie dowód, że ich nie macie. Są na pewno i uśpione wołają do Was cichym głosem, trzeba je tylko rozbudzić. Wierzcie w rodzinną dziedziczność.

Ostatecznie gdyby podczas studiów (oczywiście na architekturze) nie udało Wam się zbudzić tych zdolności z drzemki, to przecież przy dzisiejszym rozwoju techniki są one Wam w zasadzie zbędne. Bo znajomość matematyki zastępują specjalne maszynki do liczenia, a umiejętność rysowania, kreślarze w pracowniach.

Ściskam Waszą architektoniczną dłoń, do zobaczenia na Politechnice.

JUREK

KOL. MARIA WRÓBEL, POZNAŃ.

Droga i zapewne sympatyczna koleżanko!

Brawo! Gratuluję wyboru kierunku studiów. Do Was oczywiście medycyna pasuje jak w sam raz. Szkoda, że nie mogliście się zdecydować na nią sama i dopiero trzeba było argumentów ze strony bliższej i dalszej rodziny.

Czemu więc macie jeszcze jakieś obawy? To, że nie odróżniacie Menola od Mendelssohna dowodzi tylko Waszej ogromnej biologiczno-muzycznej kultury. Nie lubicie i nie znacie chemii, fizyki. To wprawdzie spowoduje pewne trudności w studiach, ale czyżbyście chciali przez to powiedzieć, że boicie się trudności, i że nie są one po to by je łamać? Jestem pewien, że tak nie myślicie.

„Jak robią mi zastrzyk — piszecie — nie mogę patrzeć. Zaraz biednę i słabo mi się robi. A jak zobaczę krew, choćby kurzą, zemdleję. I jak tu w przyszłości z moją naturą odwiedzać i leczyć chorych?".

Ulegacie panice, Koleżanko! Za kilka lat praca lekarza będzie tak zracjonalizowana, że odpadnie mu trud chodzenia do chorych i chorych do niego. Wszelkie sprawy załatwiane będą wyłącznie przez telefon. A więc Wasza wrażliwa natura nie może stać na przeszkodzie w studiowaniu medycyny.

Nie chcielibyście jednak po ukończeniu studiów jechać na wieś, gdyż strasznie lubicie miasto. A kto Wam, Koleżanko, za pięć lat będzie kazał jechać na wieś? Przecież wsi już wówczas w ogóle nie będzie. Zamiast nich powstaną agromiasta.

Aha, Wy nie znacie łaciny i nie wiecie co znaczy słowo „agro" (zajrzyjcie do słownika). Pytacie również czy jeśli koledzy mówią w Waszej obecności „homo sum", to czy jest to coś obraźliwego. Zaręczam Wam, że w powiedzeniu tym nic obraźliwego nie ma.

Ściskam Waszą lekarską dłoń i życzę powodzenia w łamaniu trudności.

JUREK

pokrzywy